



Leslie LaFoy



Uśmiech szczęścia

PROLOG

I oto, moi drodzy, już tylko kilka miesięcy zostało do kolejnego Czasu Prezentów Samotnego Milionera. Ponieważ bardzo poważnie traktuję swoje obowiązki zaufanego źródła informacji, zapewniam Was, że nadstawiam ucha na najmniejsze strzępki informacji, na każdy szelest spekulacji na temat tego, kto też tym razem może być szczęśliwym wybrańcem. I choć docierają do mnie coraz bardziej intrygujące wieści, nie jestem jeszcze gotowa, by ujawniać tu nazwiska złotych kociąt z worka Świętego Mikołaja. Jeśli jednak ktokolwiek z Was, zainspirowany moim przykładem, na własną rękę prowadzi poszukiwania... No cóż, moi kochani... Dzwoncie do mnie. Zjemy razem lunch, porównamy wyniki naszych dociekań. Odkrycie prawdy jest przecież najwspanialszym darem.

Sam Balfour z głośnym trzaskiem odłożył gazetę na stół.

- Widziałeś to? Ten ostatni tekst? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Ostrzegałem cię, że ta barakuda nie zostawi cię w spokoju. Wciąż nie wie nic konkretnego... Taką przynajmniej mam nadzieję. Gdyby było inaczej, na pewno wydrukowałyby jakieś nazwiska. Psiakrew, sam powinienem do niej zadzwonić. Może wtedy wreszcie zaprzestałbyś tej szalonej gry.

S. Edward Balfour IV, zwany przez swego bratanka wujkiem Nedom, uśmiechnął się tylko i położył na gazecie dużą kopertę, którą wyjął z najwyższej szuflady biurka.

- Zajmij się tym, proszę, zanim zadzwonisz do tej kobiety i umówisz się z nią na lunch.

Sam westchnął ciężko. Ponuro popatrzył na kopertę. Zieloną tym razem. Ciekawe, ile jeszcze takich kopert kryje się w szufladach wujka Neda?

- Znowu mnie nie słuchałeś - powiedział. - A ja tylko staram się chronić cię. Przecież wiesz.

- Bardzo cenię sobie twoją miłość i starania - zapewnił Ned. - A poza tym to wcale nie znaczy, że zamierzam porzucić projekt Maureen. Zechciej zauważyć, że czeki trafiają do niej regularnie co tydzień.

Sam zajrzał do koperty.

- Widzę, że wciąż zarzucasz sieci w poszukiwaniu kolejnych kandydatów, prawda? Nigdy nie słyszałem o tej miejscowości. Czy jest na jakiejś mapie?

- Mogę wysłać tam ciebie zamiast Bruce'a, wtedy sam się przekonasz.

- Mam się dać wciągnąć w to jeszcze bardziej? Nie, dziękuję. Już lepiej niech będzie jak dotychczas - powiedział Sam. Wiedział, że wujka i tak nie przekona. Włożył kopertę pod pachę. - Powiem Bruce'owi, żeby wziął firmowy odrzutowiec.

- Bruce jest doskonały. I dyskretny.

- Niech żyje Bruce! - Sam wstał. Lecz zanim ruszył do wyjścia, rzucił: - Wiesz co, wujku Nedzie? Sam nie wiem, czy powinienem mieć nadzieję, że ta Emily Raines to dobry, czy że zły wybór. Nie wiem, co byłoby dla ciebie lepsze.

- Za dużo myślisz, Samie. Powinieneś się nauczyć polegać na uczuciach. Prawdziwą radość daje dawanie, a nie to, co się dzieje później. Wszystko poza obdarowywaniem zależy już nie od nas.

TTLR

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie było na pół rozebranych nimf rozsypujących dookoła płatki kwiatów, a czerwone porsche na pewno nie było starożytnym rydwanem, ale mężczyzna, który właśnie z niego wysiadał, musiał być greckim bogiem. Emily Raines wsparła się na uchwycie przemysłowej szlifierki do podłóg i przez frontowe okno przyglądała się nieznanemu. Wysoki. Barczysty. Wąski w biodrach. Czarnowłosy. Poruszał się z gracją i swobodą.

Emily uśmiechnęła się do swoich myśli, kiedy się schylił, by wyjąć z auta marynarkę. Boże Wszechmogący, gdyby pojawił się tutaj, w Augsburgu w stanie Kansas, w poszukiwaniu kandydatek na nimfy, natychmiast wypełniłaby zgłoszenie.

- Emily!

Jedna połowa jej umysłu zarejestrowała przybycie przyjaciółki z któregoś z zakamarków starego budynku. Druga połowa wciąż tkwiła w fantazjach pełnych półprzezroczystych tunik, miękkich sof i winogron.

- Mówię ci - powiedziała Beth - to wszystko to jest wspaniały przykład złego uczynku, który nigdy nie zostanie ukarany.

Oho! Rozgląda się. Może się zgubił?

- Jesteś straszną pesymistką.

Może powinnam wyjść, wskazać mu drogę?

- Realistką. - Beth pomachała plikiem papierów. - Tu są kosztorysy. Piętnaście tysięcy i piętnaście i pół tysiąca. Wybór należy do ciebie.

- Który z dekarzy wygląda na bardziej zainteresowanego tą pracą? - spytała.

Tymczasem pan Adonis zbliżał się coraz bardziej i... stanął przed jej budynkiem. Jej serce przyspieszyło odrobinę.

- Szczerze mówiąc, obaj wyglądają, jakby należały im się baty.

O! Przechodzi przez jezdnię. Miała mało czasu, żeby się ogarnąć.

- Skoro już mowa o batkach dla pracowników - gwałtownie odwróciła się ku Beth - czy mogłabyś pójść porozmawiać z elektrykiem, zanim ja będę mogła przyjść? - Wskazała za okno. - Wygląda na to, że mamy gościa.

Beth spojrzała za okno, wysoko uniosła brwi, założyła za ucho rudy loki uśmiechnęła się szeroko.

- Krzycz, jeśli będziesz potrzebowała pomocy - powiedziała ze śmiechem i ruszyła do drzwi. - Głośno, jeśli to będzie coś poważnego. To bardzo duży budynek.

Pomocy? Ha! Emily spojrzała przez ramię za okno, oszacowała czas i zaczęła z obojętną miną rozwijać przewód elektryczny od szlifierki. Rozległ się dzwonek. Przywołała łagodny wyraz twarzy i uprzejmie zdziwiony uśmiech i otworzyła drzwi.

- Cześć - powiedział Adonis.

Miał miły, głęboki głos.

- Cześć - odparła niepewnie.

Niemal czuła dotyk jego spojrzenia, gdy taksował ją wzrokiem. Po długiej chwili ich spojrzenia się spotkały.

Uśmiechnął się radośnie.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - spytała Emily ze skrywaną nadzieją.

- Nazywam się Cole Preston - powiedział. - Sądzę, że widziałas się dzisiaj rano z moją babcią. Z Idą Bentley.

Emily pojaśniała na twarzy.

- Ida jest cudowna. Przeurocza.

Pokiwał głową. Cień smutku przemknął mu po twarzy.

- Bywa też nad wyraz rozrzutna. Książeczka czekowa dobitnie tego dowodzi.

- Tak... Cóż... - bąknęła. Poczowała niemiły ucisk w żołądku. - Zauważyłam, że od czasu do czasu zdarza się, że jej umysł troszkę odpływa.

- Więcej niż troszkę - powiedział z naciskiem. - I znacznie częściej niż od czasu do czasu.

- Myślę, że jak na swoje osiemdziesiąt kilka lat i tak świetnie sobie radzi. - Emily stanęła w obronie swojej starszej przyjaciółki. - Ida zawsze jest ubrana bez zarzutu, stosownie do pogody i okoliczności. Jest duszą towarzystwa. Miła i życzliwa. Przychodzi tutaj od pierwszego dnia, kiedy zaczęliśmy remontować ten budynek. I to ona właśnie podpowiedziała nam kilka doskonałych kursów, które będziemy prowadzić, kiedy tylko rozpoczniemy działalność.

- Będą to kursy tańca współczesnego. - Powiedział to tonem zimnym, pełnym dezaprobaty.

- Tak, oczywiście. Twoja babcia była przecież zawodową tancerką. Pokazała nam swoje albumy z wycinkami prasowymi. Pełno w nich doskonałych recenzji. Była wtedy bardzo wysoko ceniona.

- Wtedy to było wtedy. Teraz jest teraz. Jej czas minął.

Minął?!

- Słucham? - krzyknęła.

- Pora już, żeby ludzie przestali mieć ją nadzieją, że będzie jeszcze tańczyła.

A tak pięknie wyglądał z daleka. Jak wyjęty z dziewczęcych snów. A tymczasem... był zimny i okrutny.

Jakaż była naiwna. Gotowa była dzielić się z nim marzeniami. Zrzucić tunikę i częstować go winogronami. Potrząsnęła głową. Zderzenie z rzeczywistością było bardzo okrutne. Ze złością wcisnęła wtyczkę do gniazdka.

- Bardzo różniły się w ocenie możliwości twojej babci - rzuciła, wzruszając ramionami. - Bez dwóch zdań ona jest o niebo uprzejmiejsza i mądrzejsza niż jej wnuk.

Zamrugał. Otworzył usta, ale nie dała mu szansy odezwać się.

- Nie widziałam się z Idą dzisiaj, panie Preston. Może poszła do kawiarni albo na zakupy. Niech pan sprawdzi.

- Właściwie może to i dobrze, że jej tu nie ma - powiedział. Nawet nie zauważył, że został wyproszony. Albo zignorował to. - To mi pozwoli zająć się interesami.

Interesami? A więc nie nią. Jej działalność to niedochodowa organizacja społeczna dla starszych ludzi z małych miasteczek. Ale przecież nie musiała mu tego mówić. Mocniej oparła się o uchwyt szlifierki, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że jest bardzo zajęta. Albo zmęczona, co za różnica. Tymczasem jego spojrzenie odbyło kolejną cudowną podróż wzdłuż jej ciała. A ona skorzystała z tego, że skupił uwagę na czymś innym i... sama poddała go gruntownym oględzinom. Miał długie nogi, szerokie ramiona, czarne włosy. Niezłe ciacho.

Może zrezygnowała zbyt pochopnie? Nie był księciem z bajki, ale Cole Preston mógł być okazją, której zaprzepaszczenie byłoby karygodną zbrodnią.

Odchrząknęła cicho.

- Jakimi interesami zamierzasz się zająć, panie Preston?

- Nie wiesz może, czy jest tu gdzieś niejaka Emily Raines?

Niejaka Emily Raines! Cóż za maniery, jak powiedziałaaby Ida. Ten facet nieustannie się pograżał.

- Ja jestem Emily Raines - powiedziała szorstko.

Zamrugął gwałtownie i zakołysał się na piętach.

Przy okazji Emily zauważyła, że miał na nogach drogie włoskie buty.

- Powiedziałeś, że chciałbyś o czymś ze mną porozmawiać. O co chodzi? Elektryk czeka na mnie, żeby mi powiedzieć, jakie bająnskie sumy będzie mnie kosztowało zastosowanie tego budynku do dwudziestego wieku.

- Być może nie zauważyłaś, ale mamy już wiek dwudziesty pierwszy. - Uśmiechnął się.

- Otóż - powiedziała słodziutko - zauważyłam. Ale nie stać mnie na wyposażenie tego domu we wszystkie nowinki techniczne. Wystarczy mi poziom końcówki minionego stulecia.

Popatrzył na ciemne zacieki na suficie.

- Jak zamierzasz zdobyć pieniądze dla elektryka?

Na mgnienie oka szok sparaliżował ją. Lecz prędko gniew wziął górę. Wyprostowała się i skrzyżowała ramiona.

- Lekcje dobrych manier odbywają się w liceum.

- Słucham? - Popatrzył na nią, zdezorientowany.

- Powiedziałam, że lekcje dobrych manier odbywają się w liceum. Zostały pomyślane specjalnie dla kilkunastoletnich dziewcząt z miasteczka - ciągnęła beczelne kłamstwo. - Ale jestem pewna, że widząc, w jak wielkiej jesteś potrzebie, zrobią dla ciebie wyjątek i pozwolą ci się przyłączyć.

Oczy mu się zaświeciły. Zacisnął szczęki.

- Zajęcia zaczęły się kilka minut temu - dodała.

- Jeśli się pospieszysz, niewiele stracisz. Jestem pewna, że w programie mają wykład o tym, jak bardzo niegrzeczne jest wypytywanie całkiem obce osoby o ich osobiste finanse.

- A czy będzie tam wykład o tym - spytał słodko - jak niegrzeczne jest wyłudzenie od bezbronnych staruszek ich rent czy emerytur?

W pierwszym odruchu chciała zaprotestować, bronić się, ale szybko pomyślała, że nie da mu tej satysfakcji. Wszak nie miała sobie nic do zarzucenia.

- Niby kto co od kogo wyłudza, panie Preston? - rzuciła zaczepnie.

- Podejrzewam, że ty wyłudzasz albo próbujesz wyłudzić pieniądze od mojej babci.

Po cichu policzyła do pięciu.

- Skąd takie przypuszczenie? - spytała powoli.

- Mojej babci wydaje się, że wspiera to... to... - Potoczył wzrokiem dookoła.

- Tutaj był kiedyś magazyn fabryczny - wyjaśniła Emily. - Jesteśmy w trakcie przystosowywania budynku na potrzeby domu kultury dla seniorów z tego miasta. Musisz wiedzieć, że nie wzięłam ani grosza od...

- I, jeśli chcesz znać moje zdanie, nigdy nie weźmiesz.

Tym razem musiała policzyć do sześciu.

- Posłuchaj mnie uważnie - powiedziała cicho. - Twoja babcia nigdy nawet słowem nie wspomniała o pieniądzach. Zaoferowała swój czas i wyjątkowy talent artystyczny, kiedy rozpoczniemy działalność. Gdyby zaproponowała mi pieniądze, odmówiłabym. To...

Prychnął głośno.

Gdyby nie to, że szlifierka była tak potwornie ciężka, użyłaby jej, żeby go uderzyć.

- Czy każdą napotkaną osobę obrażasz w taki sposób?

- Tylko tę, którą podejrzewam o to, że usiłuje wykorzystać moją babcię.

Nie było nadziei na porozumienie. Wierzył tylko w to, w co chciał wierzyć, i nie przyjmował do wiadomości żadnych wyjaśnień.

- Jesteś... - zaczęła.

W tym momencie zadźwięczał dzwonek u drzwi. Kiedy usłyszała znajomy głos, posłała mu tylko ostrzegawcze spojrzenie. Zachowuj się!

- O, miałam nadzieję, że się dzisiaj spotkacie.

- Tak, właśnie się spotkaliśmy, Ido - powiedziała Emily. Cole tymczasem uściśnął babcię i pocałował ją w policzek. - Chociaż, mówiąc szczerze, zupełnie nie pojmuję, czemu miałyby ci na tym zależeć.

Ida zachichotała cichutko i poklepała Cole'a po ramieniu.

- Cole dużo szczeka, ale nie gryzie, moja droga. Jeśli nie zechcę się przenieść do którejś z tych wiosek dla emerytów, to nie zrobię tego. Może sobie tupać i zgrzytać zębami do woli. Niczego to nie zmieni.

Dom starców? Emily poczuła nagle kompletną pustkę w głowie. Nie cierpiała go coraz mocniej.

- Czy mówimy o domu spokojnej starości? - spytała.

- Tak - warknął. - Tam będzie jej lepiej.

- Doprawdy? - Emily nie umiała ukryć irytacji. - Kto tak powiedział? Ty?

Ida znowu zachichotała.

- Dołóż mu, Emily. Nie żałuj - zagrzewała ją Ida. - Gdzie może być Beth? Przywiozłam jej olej jojoba. Kupiłam go rok temu w Santa Fe.

Jak taka wspomniała i urocza osoba może być spokrewniona z takim nadętym...

- Jest na zapleczu - powiedziała Emily. - Rozmawia z elektrykiem. - Czują na sobie wzrok Cole'a.

Ida pokiwała głową.

- Cole, pomóż Emily, proszę. Ta maszyna, cokolwiek to jest, jest dla niej stanowczo za ciężka - powiedziała i wyszła.

Nie ruszył się. I chociaż nie wyglądało, by miał zamiar to zrobić, rzuciła ostrzegawczo:

- Tylko jej dotknij, a zginiesz.

- Nawet palcem nie kiwnę, żeby ci pomóc - odparł. - Nie chcę, żeby się pojawił choćby cień podejrzenia, że coś nas łączy, kiedy zostaniesz oskarżona o oszustwo.

- Tak, tak. Próbujesz teraz odwrócić uwagę od tego, że chcesz zamknąć swoją babcię w jakiejś klatce.

Wysoko uniósł brwi.

- W klatce? - powtórzył, z trudem hamując śmiech.

Patrzył na nią ze szczerym rozbawieniem.

Pod wpływem jego spojrzenia jej serce zaczęło bić coraz szybciej. Spuściła wzrok. Niespodziewanie opuściła ją cała odwaga. I kompletnie zapomniała, o czym rozmawiali. Boże, co to było?! Najpierw powiedział coś o tym, że starzy ludzie nie powinni podejmować żadnego wysiłku większego niż siedzenie w fotelu na biegunach. Potem zarzucił jej oszukiwanie staruszków. A na koniec przyznał, że zamierza umieścić Idę w domu starców. Tak! Przypomniała sobie wszystko.

- Jesteś jedynym wnukiem Idy? - spytała.

Jego dobry humor prysł.

- Jestem jej jedynym żyjącym krewnym - odparł lodowato. - I odpowiadam za to, żeby nie wykonywała żadnego niebezpiecznego wysiłku fizycznego ani żeby nie podejmowała żadnych nierozsądnych decyzji finansowych.

- Za nierozsądne decyzje finansowe uważasz wspieranie takich podejrzanych inicjatyw społecznych jak... - Emily wymownie potoczyła wzrokiem dookoła. - Jak na przykład dom kultury dla najstarszych mieszkańców miasta.

- Będziesz ostatnią, która będzie wyciągać do niej rękę po datki.

Czy on nie zna żadnych granic?

- Świetnie rozumiem twój punkt widzenia - wycedziła. - Wszystko, co ona rozda potrzebującym, tobie ucieknie ze spadku.

- Nie potrzebuję jej pieniędzy - rzucił, wyraźnie wzburzony. - Finansowo radzę sobie wyjątkowo dobrze.

- To ty tak uważasz - powiedziała z przekąsem i wzruszyła ramionami. - Z drugiej strony porsche może być z wypożyczalni, a ten markowy garnitur mogłeś kupić na wyprzedaży w sklepie z używaną odzieżą. Nigdy nic nie wiadomo. Pozory mogą mylić.

- Mogę cię zapewnić, że w moim przypadku jest dokładnie tak, jak widać.

Też coś, pomyślała. Cóż mnie to obchodzi?

- Może to będzie dla ciebie wstrząs, ale nie jesteś w tym pomieszczeniu jedyną osobą, która nie musi się martwić o pieniądze.

Parsknął śmiechem. Choć chyba nie całkiem szczerze.

- Niezła próba, panno Raines. Dodatkowe punkty za blef. Nie była to próba zbyt udana, ale ponieważ wcześniej sprawdziłem cię starannie...

- Sprawdziłeś? - Ach, ty sukin...

- Kiedy tylko po raz pierwszy babcia wspomniała o tym... - Popatrzył wkoło znacząco.

- Centrum... sztuki... i... kultury - wysyczała. - To tak łatwo zapamiętać, panie Preston.

- Kazałem mojej asystentce zebrać trochę informacji.

- O?

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zrobić to samemu.

- Jesteś dość dobrze znana w branży konserwatorów zabytkowych witraży.

Puściła mimo uszu słówko „dość”. Zapewne nigdy nie słyszał o Smithsonian Institution. Dlatego też na pewno nawet nie zwrócił uwagi na to, że była ich stałą współpracowniczką.

- I oczywiście dlatego, że mam tak dobrą reputację zawodową, uznałeś, że specjalizuję się w naciąganiu staruszek. Zdumiewająca logika.

Wzruszył ramionami.

- Wystarczy zauważyć, że jesteś typem artystycznym.

- Typem artystycznym. Rany, tego już za wiele. Czy twoja babcia też jest artystycznym typem?

Zacisnął usta.

- Ale twój wskaźnik kredytowy dowodzi - powiedział przez zęby - że nie uznali, byś na tych kolorowych szkiełkach mogła zarobić dość, żeby bank zechciał ci udzielić kredytu na kupno tego domu. W każdym razie szanujący się bank.

Zabolało ją to.

- Czy prywatne informacje kredytowe nie są przypadkiem poufne? - spytała.

- Tylko dla ludzi spoza branży - odpowiedział. - Moje źródła twierdzą, że za ten budynek zapłaciłaś gotówką. Skąd miałaś tyle pieniędzy, panno Raines?

Przyglądała mu się uważnie. Miał prosty nos, wydatną szczękę. Ciemne oczy z długimi rzęsami. A jego usta... Tak, zdecydowanie był bardzo przystojny. I gdyby nie to, że tak drastycznie przekroczył wszelkie granice...

- Proszę mi wybaczyć szczerość, panie Preston, ale jest mi całkiem obojętne, czy jest pan wnukiem Idy, czy samego Pana Boga, czy jest pan z branży, czy spoza niej. Nic panu do moich osobistych finansów.

- Umiem sobie radzić.

- Wypuszczasz psy gończe - rzuciła zaczepnie. - Daj mi znać, czego się dowiedzą. To może być interesujące.

- Jestem pewien. Założę się, że lista imion będzie długa. Może Edna, może Ralph albo Ida.

Guzik wiesz, pomyślała. Ale tego nie zamierzała mu powiedzieć. Swojego anonimowego dobroczyńcę nazywała Tajemniczym Świętym Mikołajem. Od trzech tygodni próbowała poznać jego nazwisko i adres, żeby wysłać mu podziękowania. Gdyby nie jego czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jej plan wciąż byłby tylko sennym marzeniem.

- Jak już powiedziałam - zacisnęła dłonie na uchwytach szlifierki - możesz sobie szukać do woli. Ale teraz zechciej wybaczyć, mam dużo pracy.

Uśmiechnęła się do niego.

- Jak wiesz - dodała - dobry oszust stara się przede wszystkim wyglądać na takiego, który nie potrzebuje pieniędzy. Myślę, że jeśli wyszlifuję tę dębową podłogę, zdołam zbałamucić panią Flores, żeby oddała mi swoją cotygodniową wygraną w bingo. A jeżeli zdołam zrobić to jeszcze z dwiema czy trzema starszankami... Uważaj, Las Vegas, przybywam!

- Sarkazm...

Emily nacisnęła włącznik i szlifierka zbudziła się do życia. Reszta jego słów utonąła w potwornym ryku maszyny, która zaczęła wrywać jej się z rąk. Gdy ona rozpaczliwie próbowała opanować potwora, Cole Preston wykazał się refleksem i instynktem samozachowawczym i odskoczył na bezpieczną odległość.

Emily zdołała dosięgnąć wyłącznika i wszystko znieruchomiało.

- Stanowisz prawdziwe zagrożenie - oznajmił.

Jej zaciśnięte pięści były białe, a policzki pałały żywym ogniem.

- Lepsze to niż żalosna wymówka dla wnuka - wysapała. - A teraz bądź uprzejmy zabrać swój żalosny tyłek precz z mojego centrum... sztuki... dla... seniorów.

Zacisnął szczęki. Zakreślił się na pięcie i wyszedł bez słowa. Emily odprowadziła go wzrokiem. I wbrew samej sobie musiała przyznać, że używał wspaniale pachnącej wody po goleniu.

Ruszyła na poszukiwanie Idy, Beth i elektryka. Żalosny tyłek, pomyślała. Wcale nie taki żalosny. Uśmiechnęła się, rozmarzona.

Poza tym, chociaż niezbyt spektakularne, ale przecież odniosła zwycięstwo. A czuła przez skórę, że w starciu z Cole'em Prestonem liczyć się będą nawet małe wiktorie.

TLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Cole Preston szedł z babcią u boku i wmawiał sobie, że miał już w życiu gorsze dni. Wiele. Chociaż akurat w tym momencie nie potrafił sobie przypomnieć żadnego z nich. A wszystko zaczęło się dzień wcześniej. Po południu babcia wezwała go i zażądała, żeby sprzedał część jej akcji, gdyż chciała oddać te pieniądze swojej nowej przyjaciółce na wspólny cel społeczny. Spadło to na niego jak grom z jasnego nieba.

Dzwonki alarmowe zadźwięczały mu w głowie. Dwie godziny później Wendy wściekła się na niego, gdy odwołał wspólne wyjście do filharmonii - znowu - żeby się zająć rodzinnymi sprawami.

Najpierw jazda w potwornym korku przez Kansas City, potem osiem mil krętej, dziurawej, wąskiej drogi. Kiedy dotarł do domu babci, zastał ją rozentuzjasmowaną, rozgorączkowaną, łykającą ibuprofen jak landrynki, wychwalającą pod niebiosa kochaną Emily Raines i szansę ponownego tańczenia.

Kochaną? O, tak. Zgoda. Emily Raines była cudowna. Miała nogi stąd do nieskończoności i zabójcze krągłości wszędzie tam, gdzie należało. Koszulka, w której ją zobaczył, wyraźnie ujawniała doskonałość jej piersi. Jej uśmiech rozjaśniał otoczenie. Kręcone jasne włosy i zadarty nosek urzekały, a niewiarygodne zielone oczy zniewalały. Nie wątpił, że nowa przyjaciółka babci robiła wrażenie.

Ale na pewno nie była słodka i kochana. Poprzedniego dnia, gdy był już piętnaście kilometrów za miastem, zadzwonił Jason z pierwszymi wynikami poszukiwań na jej temat. Artystka, która do ubiegłego roku nigdzie nie mieszkała dłużej niż pół roku, zjawia się niespodziewanie w małym prowincjonalnym miasteczku z harmonią pieniędzy i twierdzi, że zamierza poprawiać życie starych ludzi. Podejrzane.

Ale tylko Jason i on tak uważali. Babcia była absolutnie przekonana, że wspinała Emily jest aniołem zesłanym przez Boga Powrotu Przeminiętej Sławy. Anioł, z takim językiem? Chyba że prosto z piekła.

Jednak babcia wcale tego nie dostrzegała, więc on miał gigantyczny kłopot. Początkowo zamierzał wpaść do miasta i nie bacząc na nic przygotować przeprowadzkę babci w znacznie bezpieczniejsze dla niej miejsce. Musiał jednak zmienić plany.

A pierwsze spotkanie z Emily Raines... Od czasów liceum nie zdarzyło mu się tak gwałtownie zareagować na kobietę. Nerwowo przemierzał salon babci i rozpaczliwie usiłował wymyślić jakiś plan awaryjny. A babcia nie ułatwiała mu zadania. Po wnikliwym wypyтaniu go o przebieg spotkania z panną Doskonałą wprost zażądała, żeby był miły dla Emily. Nawet gdyby miał udawać.

Wtedy znalazł rozwiązanie. Powiadają, że należy się trzymać blisko przyjaciół, ale jeszcze bliżej wrogów. W jego sytuacji była to naprawdę słuszna rada. Gdy powiedział, że jest gotów przeprosić Emily, babcia była szczęśliwa. A on wiedział, że tylko bliskość z Emily pozwoli mu odkryć wszystkie jej nieprawości i przestępstwa.

- O, cudownie, tam jest Alma! - zawołała babcia radośnie.

Cole pokiwał głową. Obojętnym wzrokiem omiół rozległy trawnik na zapleczu biblioteki miejskiej, na którym aż gęsto było od rozbawionych ludzi.

- Emily też jest - zauważył. Jej długie nogi w obcisłych dżinsach i zachwycający dekolt przyciągały wzrok.

- Pamiętaj, co mi obiecałeś, Cole - powiedziała babcia.

- Dobrze. Będę - odparł. - Natychmiast zacznę od przeprosin. Pozwolisz?

- Oczywiście, kochanie - rozpromieniła się. - I dziękuję.

Uśmiechnął się, pocałował ją w policzek i ruszył przez trawnik.

Zauważyła go i nie spuszczała zeń wzroku. Lekko wyduła wargi. Pociągnęła długi łyk z plastikowego kubka. Gdy stanął tuż przed nią, wysoko uniosła brwi i spytała słodko:

- Przyszedłeś się upewnić, że nie ucieknę z pieniędzmi biblioteki za przetrzymane książki?

Odetchnął głęboko, odchrząknął.

- Przyszedłem przeprosić cię za moje zachowanie dziś rano. Może moglibyśmy zacząć wszystko jeszcze raz od nowa?

Skrzywiła się leciutko.

- Ida ci kazała, tak?

- Po prostu dotarło do mnie, że byłem głupcem.

- Może nie całkiem prawda, ale dobrze brzmiało.

- Babcia wróciła do domu i prędko pomogła mi zrozumieć mój błąd.

Znowu się napiła. Przyglądała mu się z uwagą.

- Chcę, żebyś wiedział - powiedziała poważnie - że ja nic nie powiedziałam Idzie o naszej... sprzeczce.

- Nie musiałaś. Na pewno była w pobliżu i wszystko słyszała.

- A zatem już wiesz, że nie jestem podłą oszustką. Hm, przecież to był najmniejszy z jej grzechów.

- Ida ma rację - przyznał. - Zachowałem się niegrzecznie. Przepraszam. - Wyciągnął do niej rękę. - Zgoda?

Czy mu się zdawało, czy jej brew drgnęła leciutko? Czyżby go przejrzała, domyśliła się prawdziwych motywów jego postępowania?

- Przeprosiny przyjęte. - Uścisnęła jego dłoń.

Spostrzegł, jak silny miała uścisk, ale nie zdążył się nad tym zastanowić. Fala gorąca popłynęła od jej ręki i przeniknęła każdy skrawek jego ciała.

Matko! - pomyślał. Ileż to już lat minęło od ostatniego takiego...

- Może coś zjemy?

Zamrugnął, przywrócony do rzeczywistości. Uwolnił jej rękę i starał się udawać kompletnie obojętnego.

Posłała mu ciepły uśmiech. A on się zastanawiał, co też w tym momencie myślała. Był jednak pewien, że radowała się zwycięstwem.

- Słyszałam - powiedziała jedwabistym głosikiem - że pieczone kurczaki Almy Rogers są najlepsze w hrabstwie.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, co do niego mówiła. Otrząsnął się.

- No to chodźmy, przekonamy się sami - zdecydował. Położył rękę na jej plecach i poprowadził ją do stołów ustawionych pod drzewami. - W ostatnich piętnastu latach jadłem kurczaki tylko w samochodzie albo serwowane przez kelnera.

Popatrzyła nań przez ramię.

- Domyślałam się, że nieczęsto bywasz w domu?

W domu?

- Nigdy nie mieszkałem w Augsburgu - odparł. - Babcia sprowadziła się tutaj kilka lat temu... chyba pięć... kiedy zmusili ją w końcu do odejścia na emeryturę.

Podawała mu papierowy talerzyk i zawinięte w serwetki plastikowe sztuce. Musiał, niestety, zabrać rękę z jej pleców. Westchnął głęboko. I tylko dziwne, zmysłowe obrazy zaczęły się rodzić w jego głowie. Zrobił już nawet pół kroku w jej kierunku... Stop! Co się ze mną dzieje? - pomyślał.

- Naprawdę? Kiedy słuchałam Idy, odniosłam wrażenie, że mówiła o domu w Augsburgu jak o starej siedzibie rodowej.

Dla niego Augsburg był tylko dziurą, którą z przyczyn rodzinnych zmuszony był odwiedzać raz albo dwa razy w roku. Ale w kampanii, którą prowadził, a która miała doprowadzić go do wielkich rozkoszy, nie mógł tego powiedzieć. Nałożył sobie na talerzyk pieczoną pierś kurczaka.

- Siostra babci, Imogena - zaczął - poślubiła człowieka stąd. Jego rodzina mieszkała tu od pokoleń, czekając boskiego zmiłowania. I tak się stało, że Imogena przeżyła tutaj całe swoje małżeńskie życie. A trwało to bardzo długo... Nie mieli dzieci i po jej śmierci dom dostała babcia. Radziłem jej, żeby go sprzedała albo wynajęła, ale nie chciała mnie słuchać. Sprzedała mieszkanie w Nowym Jorku, spakowała cały dobytek i przeniosła się tutaj. Powiada, że bardzo jej się podoba, że może zobaczyć całe miasto, od końca do końca. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Ja rozumiem - zadumała się Emily. - Starsi ludzie często czują się zagubieni i zdezorientowani w rozległych przestrzeniach. Starają się więc zmniejszyć swój świat, żeby stał się bardziej przewidywalny i mniej stresujący. - Nałożyła na swój talerzyk dużą porcję domowej sałatki ziemniaczanej. - Jakoś nigdy nie pomyślałam o Idzie, że może być w takim wieku, kiedy to zaczyna mieć dla niej znaczenie.

- Tak dobrze znasz psychikę starych ludzi?

Pokręciła głową. Popołudniowe słońce zamigotało w jej jasnych włosach.

- Trochę - przyznała. - Ale to przede wszystkim moje osobiste doświadczenia. Kiedy miałam kilkanaście lat, zamieszkała z nami moja babcia. Dla niej najgorsza była jazda samochodem po mieście. Ruch na ulicach dla większości starszych ludzi jest zbyt intensywny.

- No, tak. Dla mnie też jest zbyt intensywny. Czy i ja jestem już staruszką?

Otaksowała go badawczo.

- Ani trochę.

Choć wiedział, że to głupie, zrobiło mu się miło. Emily wzięła w dłoń jajko i położyła na talerzyku. Oblizwała palce i roześmiała się.

- Gdzie mieszkasz? - spytała.

- W Kansas City. A dokładniej w Blue Ridge. W mieszkaniu z dwiema sypialniami i dwiema i połową łazienki, z całkiem nieciekawym widokiem za oknem.

- Coś jak spełnione marzenie agenta nieruchomości.

Wzruszył ramionami i sięgnął po pomidory.

- To jest całkiem przyzwoita inwestycja. Chociaż muszę przyznać, że w tym przypadku niespecjalnie interesuje mnie stopa zwrotu.

- Ida mówiła, że dużo podróżujesz. Jesteś handlowcem?

- Zajmuję się pozyskiwaniem środków inwest...

Gwałtowny powiew zimnego wiatru omal nie wyrwał mu talerzyka z ręki. Rozejrzał się dookoła. Chmura papierowych serwetek i plastikowych talerzyków leciała ponad bibliotecznym trawnikiem.

- Co, u diabła? - rzucił.

- Zimny front przyszedł cztery godziny wcześniej. - Obróciła się na pięcie i zaczęła nakrywać talerzyki z ciastkami. - Przynajmniej przesuwa się szybko. To jakaś pociecha. Prędzej przejdzie.

Z wszystkich zakątków trawnika biegły ku stołom kobiety. Mężczyźni w pośpiechu zbierali krzesła.

- Co za front? - spytał Cole.

Wiatr uderzał coraz gwałtowniej. Emily popatrzyła nań zdziwiona.

- Nie wiesz? Zimne suche powietrze wdziera się pod masy powietrza ciepłego i wilgotnego. Uderzenia wiatru poprzedzają front burzowy. Po nim nadejdzie paskudna pogoda.

- Ale... - Gdy zaatakował kolejny podmuch, musiał mocno chwycić talerzyk. Drzewa zakołysały się, zaszumiały głośno. - Nie ma przecież ani jednej chmury.

- Popatrz tam, skąd uderza wiatr.

Odwrócił się. O, tak. To wyglądało naprawdę paskudnie.

- No, to chyba po pikniku - stwierdził.

- Przystojny i spostrzegawczy.

Uśmiechnął się. Przystojny? Pochyliła się nad stołem, żeby schować sałatki do pojemnika. A on nie mógł oderwać od niej oczu.

- Mógłbyś mi pomóc pakować - brutalnie przerwała mu podziwianie jej ponętnych kragłości.

Starsze panie uwijały się jak w ukropie. Stoły opróżniały się błyskawicznie. Potrawy, podgrzewacze do potraw i plastikowa zastawa znikwały w plastikowych skrzynkach. Starsi panowie w pośpiechu nosili wszystko do samochodów zaparkowanych wzdłuż ulicy.

- No, jako tako. - Wyprostowała się i bezskutecznie usiłowała odgarnąć włosy z oczu.

- Dobry Boże! Ależ pędzą! - zawołał.

Roześmiała się. Serdecznie i wesoło. A on poczuł dziwne mrowienie. Jej radość wypełniła mu serce czymś niespotykane ciepłym.

- Chyba powinieneś odprowadzić Idę do domu, zanim rozpada się na dobre - rzuciła. Energicznie strząsnęła obrus.

Babcia! Wspaniały ze mnie wnuczek! - pomyślał. Nerwowo rozejrzał się dookoła. Jakby się spodziewał, że zobaczy ją wdeptaną w trawnik geriatryczną galopadą.

- Jest przy głównych schodach. Składa krzesła - powiedział z ulgą. - Potrzebujesz pomocy?

- Dziękuję, dam sobie radę. - Sięgnęła po kolejny obrus. - Ale jeśli chcesz, odprowadź babcię do domu i wróć. Pomożesz nosić stoły i krzesła do biblioteki, do magazynku.

- Dobrze, wrócę niedługo.

- Będę tutaj. - Znowu wybuchła śmiechem. Cichym, delikatnym śmiechem. - Gdzieś tutaj.

Pokiwał głową. Z trudem oderwał oczy od jej dekoltu. Wiatr szarpał brzegami bluzki, uchylał raz więcej, raz mniej. Odszedł już z tuzin kroków i wciąż nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia, jak bardzo przezroczysty może być stanik.

- Hej, Cole!

Obejrzał się. Emily wyciągała właśnie rękę z kieszeni.

- Przyszliście tu na piechotę - zawołała. - Będzie lepiej dla Idy, jeśli odwieziesz ją do domu. - Nim zdążył zareagować, rzuciła do niego pęk kluczy. - Zielony range rover stoi przy północnym skrzydle biblioteki. Tylko nie poprzestawiaj mi stacji w radiu!

Uśmiechnął się, zasalutował i ruszył przez trawnik.

- Babciu! - zawołał.

Uniósł wysoko kluczyki.

- Co powiesz na przejażdżkę do domu, zanim rozpęta się burza?

Uśmiechnęła się.

- Chyba nie ukradłeś samochodu, prawda? - Pamiętała, że jego czerwone porsche stało przed jej domem, sześć przecznic od biblioteki.

- Emily pożyczyła nam swój.

- Domyślam się więc, że przyjęła twoje przeprosiny?

- Zgodziła się uprzejmie.

- Ponieważ jest to nad wyraz uprzejma młoda dama. - Babcia pomachała na pożegnanie przyjaciółkom.

Cole wziął ją pod rękę i poprowadził do auta. Uprzejma? O, tak. Emily była bardzo dobrze ułożona. Pytanie tylko, czy nie była to jedynie gra. Oszuści potrafią się maskować. Ludzie niechętnie dają swoje pieniądze i czeki gburom.

Gdyby miał postawić pieniądze... Cóż, zwykle trafnie oceniał ludzi. Chyba zaryzykowałby niewielką sumkę, że Emily Raines jest miłą, uczciwą osobą.

Czas pokaże. Lecz w tym momencie jednego był pewien: Emily jest najbardziej intrygującą kobietą na świecie. Nie spotkał takiej od lat.

Stanowczo należało realizować powzięty plan. Należało trzymać się jej jak najbliżej. A wtedy... Kto wie?

Potrząsnął kluczykami. Uśmiechnął się. Pogoda bardzo mu pomogła. Ładnie z jej strony. Szanse na kolację we dwoje zdecydowanie wzrosły. Takiej okazji nie zamierzał przepuścić.

Emily zatrzymała się u szczytu schodów biblioteki. Czekala, aż Cole zamknie drzwi i zastanawiała się gorączkowo. Co robić? Co robić?! Zaryzykować czy grać bezpiecznie? Decyzja na wagę życia lub śmierci. Prawie.

Była pewna, że ani na moment nie przestał jej podejrzewać. I chociaż podczas przyjęcia w ogrodzie zrobiła duży postęp, nie przekonała go do końca. Ale z drugiej strony bała się naciskać go zbyt mocno, zbyt szybko. Więc może by tak na tę jedną noc zostawić wszystko swojemu losowi i następnego ranka zacząć od nowa?

- Zamknąłeś drzwi? - Z niepokojem spoglądała w stronę ściany czarnych chmur nadciągających z północnego zachodu.

- Tak.

A niech tam!

- Mamy jakieś dwie minuty, zanim zaczną padać - powiedziała. - Chcesz, żebym odwiozła cię do Idy? Czy pojedziesz do mnie? Mogę przygotować coś do jedzenia. Nic specjalnego. Na pewno nie tak dobrego jak to, co było na stołach.

- Rosół z kluskami z babcią albo cokolwiek z cudowną blondynką. Masz mnie za idiotę?

- No to chodźmy.

Miała nadzieję, że wszyscy mieszkańcy wpatrywali się w telewizory, śledząc prognozy pogody, i nie zauważyli, że zabierała do siebie Cole'a Prestona. Niby nie miało to dla niej znaczenia, ale... Uśmiechnęła się do swoich myśli.

Kiedy uruchomiła silnik, z głośników buchnęły potworne dźwięki muzyki rap.

Uderzyła wyłącznik. Cisza. Koszmar znikł.

- Poprzestawiałeś mi stacje.

- Nawet bym o tym nie pomyślał, gdybyś nie powiedziała.

Uśmiechnął się szelmowsko.

Ruszyli. Po minucie byli przed jej domem. Po następnej weszli do windy.

Zewnętrzne drzwi zasunęły się z szelestem. Zaciągnęła wewnętrzną kratę i stara winda towarowa ruszyła.

- Ile to ma lat? - spytał podejrzliwie.

- Myślę, że montował ją osobiście pan Otis. Ale w zeszłym roku była remontowana i kontrolowana. Dowiezie nas na drugie piętro bez trudu.

- Bardziej obawiam się nieoczekiwanej podróży do piwnicy.

- Życie jest pełne niespodzianek. Nie ma ryzyka, nie ma zabawy.

- To prawda.

Wydawało jej się, że przez całą drogę wstrzymywał oddech. Ale nie była pewna. Tak jak nie wiedziała, co pomyślał, kiedy dotarli do jej mieszkania.

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

- Wiem, nic specjalnego - powiedziała, wieszając kluczyki od samochodu na haku, który ktoś bardzo dawno wbił w futrynę. - Długie lata podróżowałam.

- Masz tu wszystko, czego potrzeba. - Rozglądał się z zaciekawieniem.

- Dziękuję, ale nie musisz się silić na uprzejmość. Wiem, że wygląda to trochę jak przytułek. - Roześmiała się, widząc jego skonsternowaną minę, i poszła do kuchni. - Rozgość się! Przygotuję coś do jedzenia. Napijesz się wina?

- Z przyjemnością.

- Jakieś życzenia? Białe czy czerwone? Mamy jeszcze owoce, sery i trochę krakersów.

- Nie znam się na winach - odparł. Usiadł na wielkiej, obitej brązową skórą kanapie. - Wybierz sama.

Postawiła na tacy obie butelki, obok położyła korkociąg i dodała dwa kieliszki.

- Piękne okna.

- To prawda. Rekompensują całą resztę. - Zamyśliła się. Cztery olbrzymie okna były jej dumą. Zawsze wyglądała przez nie z nadzieją, zawsze przypominały jej, że cała reszta - przeciekający sufit, odpadająca tapeta, instalacja wodociągowa, która warczała i ryczała jak łoś - że wszystko to da się naprawić, doprowadzić do takiego stanu, w jakim były te okna.

Emily potrząsnęła głową i ocknęła się z zamyślenia.

- Kiedy nadciągnęła burza, zapytałam cię, czym się zajmujesz. Ale nie dane ci było odpowiedzieć.

- Jestem inwestorem kapitału wysokiego ryzyka.

- A dokładnie co to oznacza?

Błyskawica rozjaśniła niebo, a chwilę potem głuchy grzmot przetoczył się nad ziemią.

- Pożyczam pieniądze rozwijającym się bądź zaczynającym działalność firmom. - Burza za oknem nasilała się. - Sprawdzam je skrupulatnie i jeśli wszystko wydaje się w

porządku, podpisujemy kontrakt. Potem podpisuję czek, stoję z boku i pozwalam im działać. Po ustalonym czasie zwracają mi pieniądze z odpowiednim procentem.

- Dużo musisz podróżować?

- Bardzo. Nigdy nie pożyczam pieniędzy ludziom, z którymi nie spotkałem się osobiście, którym nie spojrzałem w oczy. Spędzam w powietrzu więcej godzin niż niejednego zawodowego pilota.

- Aha. - Pokroiła duży kawałek sera. - A znasz wszystkich członków swojej załogi?

- Pilotem jest Bob. Drugim pilotem Randy. Jest jeszcze stewardesa Collete.

- Masz własny samolot?

- Tak. Cessnę citation.

Bogaty... Nieprzyzwoicie bogaty. Prawdopodobnie nigdy w życiu nie był w takim mieszkaniu. A ona proponuje mu lekko przywiedłe winogrona, cienkie wino, ser i krakersy prosto z pudełka.

- Twoje inwestycje muszą być całkiem dochodowe - zauważyła.

- Radzę sobie - odparł. Popatrzył na tacę, którą postawiła na stoliku do kawy, wziął korkociąg i butelkę wina. - Myślę, że tata nie mógłby narzekać, gdyby zobaczył, jak wykorzystałem spadek.

- Dawno zmarł? - Usiadła obok niego.

- Siedem lat temu. Był kardiochirurgiem. Umarł na rozległy zawał serca. Okrutna ironia losu, prawda?

- A twoja mama? - Zastanawiała się, ile butelek wina trzeba otworzyć, żeby robić to z taką wprawą jak on.

- Kiedy byłem w liceum, rodzice się rozeszli. Byłem na drugim roku studiów, kiedy umarła. Na wiosnę minie dziesięć lat.

- Bardzo mi przykro.

Wzruszył ramionami i rozlał wino do kieliszków.

- Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego kobieta, która nie umiała pływać, zapiła się na spływ pontonem po rwącej rzece.

- Może próbowała pokonać strach przed wodą?

- Kto wie? Nigdy nie rozmawiała ze mną o niczym innym, jak tylko o alimentach i czekach dla potrzebujących dzieci. - Podał jej kieliszek, odstawił butelkę na tacę i opadł na oparcie kanapy. - A twoi rodzice? Żyją?

- Tak. I dobrze się mają. Mama prowadzi zajęcia z tkaniny artystycznej na uniwersytecie Nowego Meksyku w Albuquerque, a tata wykłada nauki społeczne w liceum.

- Są fajni?

Emily uśmiechnęła się.

- W tamtych czasach byli trochę hippisowskimi relikdami. Bardzo mnie to zawstydzalo. Do tego jeszcze babcia, która, zwłaszcza pod koniec życia, żyła w całkiem innym świecie... - Potrząsnęła głową. - Kiedy teraz patrzę na tamte czasy, nie były one aż tak okropne, jak wtedy tak mi się zdawało.

Ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Dlaczego nie poszłaś w ślady rodziców i nie zostałam nauczycielką?

- Próbowałam - powiedziała. - Uzyskałam licencjat na wydziale pedagogicznym, na kierunku sztuk pięknych. Ale gdybyś się dobrze przyjrzał, zobaczyłbyś, że popyt na takich nauczycieli jest wyjątkowo mały. - Wzruszyła ramionami i pociągnęła łyk wina. - Wtedy dokończyłam studia i zostałam magistrem sztuk pięknych. Po drodze dostałam stypendium od Smithsonian Institution w dziedzinie renowacji zabytków. A później zaczęłam współpracować z nimi przy ich projektach.

- Co to za projekty?

- Różne. Duże i małe. W całym kraju. Renowacja zabytków, sztuka użytkowa, sztuka wizualna, nauka w służbie sztuki. Najbardziej znany, rzecz jasna, jest projekt Fundacji Rockefellera w Williamsburgu w stanie Virginia. Odbudowa historycznego centrum miasta.

- Interesujące.

- Oczywiście! Podczas praktyk zajmowałam się renowacją witraży w katedrze w Waszyngtonie. Potem pracowałam jeszcze przy renowacji starej lokomotywni w Seattle. Nawet już nie pamiętam wszystkich miejsc, gdzie coś robiłam.

- Taki koczowniczy tryb życia.

Przynajmniej nie powiedział „cygański”, pomyślała.

- To prawda - przyznała. - Kilka ostatnich lat przeżyłam na walizkach. Do tego skrzynka z narzędziami i chęć podróżowania, to wszystko. Za to w zamian mogłam poznać więcej Amerykanów niż przeciętny człowiek. A gdybyś chciał się czegoś dowiedzieć o restauracjach wzdłuż którejś drogi albo w którymś mieście, pytaj mnie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze - podjął wyzwanie. - San Francisco?

- Daj sobie spokój z wytwornymi restauracjami. Idź coś zjeść na Nabrzeżu Rybackim. Dostaniesz dużo doskonałego jedzenia. Takiej zupy rybnej jak tam nie ma nigdzie.

- A kraby?

- Na kraby powinieneś pojechać do Annapolis w stanie Maryland. Nie pamiętam, jak się nazywa tamta restauracja, ale trudno jej nie znaleźć. To dwupokładowy statek zacumowany w porcie. Żółty z brązowym pasem. Mają tam najlepsze kraby na świecie. A kiedy skończysz jeść, możesz zwiedzić Akademię Morską. W krypcie pod kaplicą mają tam Johna Paula Jonesa.

- Kogo?

- Johna Paula Jonesa - powtórzyła. I widząc jego niepewną minę, dodała: - „Bonhomme Richard” kontra HMS „Serapis”. Jest sławny obraz ukazujący tę bitwę. - Pokręcił głową, na co ona westchnęła ciężko. - Rewolucja amerykańska.

- Byłem dobry w finansach i ekonomii.

- John Paul Jones to ten, który powiedział: „Ja jeszcze nie zacząłem walczyć”.

- Och, wiem - zawołał radośnie. - Czemu od razu nie powiedziałeś?

Przewróciła oczami.

- Mniejsza z tym. Pod kaplicą jest jego sarkofag. Piękna marmurowa robota. Zdobia go postać Davey'ego Jonesa¹ i Neptuna. Wiesz, kto to taki Davey Jones, prawda?

- Oczywiście - zawołał. - Grał w bejsbol w drużynie Monkees. Taki nieduży Anglik.

- Twój poziom kulturalny jest żenujący.

¹ W wierzeniach marynarskich uosobienie śmierci na morzu.

Roześmiał się, nic sobie nie robiąc z jej uwagi.

- Wiesz, gdyby nie poszło ci w fachu artystycznym, mogłabyś zostać przewodnikiem turystycznym.

- Uważam, że należy się trzymać raz obranej drogi.

- Tu też pracujesz nad jakimś witrażem?

Był naprawdę mistrzem w zdobywaniu informacji.

- Tak, nad jednym. Przyjechał specjalnym transportem dwa dni temu. To wszystko. Na kilka następnych tygodni mam zbyt wiele pracy, żeby móc się zająć czymś jeszcze. Na piętnastego czerwca zaplanowane jest uroczyste otwarcie, a do zrobienia jest tak wiele!

Z pobłażaniem pokiwał głową.

- Powiedz, jak to się stało, że dziewczyna z Nowego Meksyku, która całe życie wędrowała po kraju, wylądowała w Kansas?

- W zeszłym roku reperowałam witraż w kościele w Wichita. Odbyłam wtedy wiele wycieczek. W weekendy. Czwartego lipca znalazłam się w Augsburgu. I zobaczyłam najwspanialszy na świecie pokaz sztucznych ogni. Jeśli dasz radę zostać w tym roku do tego dnia, nie pożałujesz.

- Będę się starał - obiecał solennie. - Na razie wszystko wygląda dobrze, ale w mojej branży nigdy nic nie wiadomo. Ale co sprawiło, że postanowiłaś zamieszkać tu na stałe?

- Ceny nieruchomości są tu wyjątkowo korzystne i...

- Bo nie ma popytu - przerwał jej. - Gdyby nie weekendowi turyści, to miasto już by umarło.

- Kansas City rozrośnie się w tę stronę - powiedziała konfidencjonalnym szeptem. - Za dwadzieścia lat sprzedam ten dom z oszałamiającym zyskiem.

- Dwadzieścia lat to bardzo długi czas oczekiwania na zwrot inwestycji.

Wzruszyła ramionami.

- Pieniądze to nie wszystko. Pomyśl o wygodzie. Kansas leży niemal w środku kraju. Loty stąd są najkrótsze w każdym kierunku. A im mniej czasu spędza się na lotniskach, tym lepiej. Poza tym... - upiła łyk wina - duże miasta są fajne. Jest w nich wiele do

obejrzenia, do zrobienia. Ale w końcu... Dla mnie najważniejsze jest to, żebym mogła odwiedzać duże miasta, kiedy tylko zechcę, ale lubię żyć tam, gdzie w drodze do warzywniaka spotykam ludzi, z którymi jestem po imieniu.

- W małym mieście nic nie da się ukryć - prychnął.

- To prawda. Ale to nie jest problem, jeśli nie masz nic do ukrycia. Albo jeśli jest ci obojętne, czy wszyscy się dowiedzą.

- Masz swoje racje. Ja wolę pozostać anonimowy podczas zakupów.

- Dlaczego?

- Wszystko jest wtedy prostsze.

Emily zachichotała.

- Muszę przyznać, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że pozdrowienie kogoś na ulicy może stanowić problem.

- Zależy, co kto lubi. Kupuję ćwierć litra mleka, płacę, wychodzę, idę do domu i piję.

- Wszystko sam - skomentowała ze współczuciem.

- Wcale nie - odparł. - Jesteś zarozumiała.

Pochyliła się ku niemu i wypaliła oskarżycielskim tonem:

- Gdybyś nie wracał do pustego domu, zapewne to nie ty kupowałbyś mleko. A gdyby w domu ktoś na ciebie czekał, kupiłbyś litr, a nie ćwierć.

- Nie jestem mnichem.

- Tego nie powiedziałam. - Nie powiedziałaby tak nikt o zdrowych zmysłach. Mnich używający takiej wody kolońskiej!

Przyglądał jej się przez moment w skupieniu. Uśmiechnął się.

- A ty kupujesz litr mleka czy ćwierć? - spytał.

Wybuchła śmiechem.

- Kupuję pół litra - wyznała.

- Jesteś zakonnica?

- Póki naprawdę nie zmienią reguł, nie - odparła, dusząc się od śmiechu. Znowu upiła wina. - Nigdy nie przepadałam za mlekiem. Wiem, to nie po amerykańsku, ale musli raz czy dwa razy w tygodniu zupełnie mi wystarczy.

- Czyli nie ma żadnego ważnego mężczyzny?

Interesujące. Jaki może to mieć związek z jego śledztwem w sprawie naciągania staruszek? Czyżby zaczął jej ufać?

- No cóż, tata jest dla mnie bardzo ważny, ale nie, nie mam chłopaka. I nie miałam od nie pamiętam jak dawna. A czy jest jakaś kobieta ważna dla ciebie?

Wydał wargi. Milczał przez chwilę.

- Powiedziałbym o niej, że jest zdecydowanie tymczasowa i to jest bardzo wygodne.

- Jezu! Aleś ty romantyczny!

I bardziej szczerzy, niż oczekiwała.

- Nigdy, tak naprawdę, nie było mi to potrzebne.

Uwierzyła bez zastrzeżeń.

- W szkole mówili na ciebie szczęściarz?

- Nie. Wołali na mnie... - Wyprostował się. Pochylił głowę na bok. Ściszył głos i powiedział: - Ogier.

Nie zdołała się pohamować. Opadła na oparcie kanapy i zanosła się śmiechem tak gwałtownym, że omal nie rozlała wina.

- A zatem - odezwał się nieco sztywno. Urwał, odchrząknął. - A zatem, co sprawiło, że postanowiłaś zmienić tryb życia na osiadły, kupić ten dom i przebudować go na centrum... sztuki... i... kultury?

- To długa i skomplikowana historia.

- Tak się składa, że mam dziś wolny wieczór. - Sięgnął po butelkę z winem. - Jeszcze?

Podsunęła mu kieliszek do napełnienia.

- Jest taki kościół w Wiebeville, który...

- W Łiii... biii... ville? - spytał z szelmowskim uśmiechem.

- Założone przez pana Franza Wiebe ponad sto lat temu. Urocze małe miasteczko siedemdziesiąt kilometrów na północ stąd. Dzisiaj mieszkają tam przeważnie emeryci. Starzy farmerzy przekazali swoje gospodarstwa następnym pokoleniom i przenieśli się

do miasta. Mają kościół wpisany do krajowego rejestru zabytków. A w nim cudowne witraże! - Pokręciła głową. - Grad wielkości piłek golfowych... Paskudna sprawa.

Rozlał do kieliszków resztkę wina. Usiadł wygodnie w rogu kanapy.

- I wezwali cię, żebyś je naprawiła.

- Tak. Przed końcem minionego stycznia.

- Tak bardzo potrzebujesz pracy?

- Nie - odparła. - Tak bardzo jestem zapracowana. Ale nie było tak źle. Zimno, tak, ale na pewno nie tak nudno, jak sądziłam.

- Nudno? Czy ja dobrze pamiętam, panno Raines, że kilka minut wcześniej zachwalałaś życie w małych miasteczkach?

- Jest pewna różnica między małą miasteczką i O-Boże-zastrzel-mnie!

- Tak? A jakaż to?

Udała, że nie zauważyła sarkazmu w jego głosie.

- Musisz wiedzieć, że Wiebeville to jedno z najbardziej interesujących miast na prerii. Mają tam fantastyczny artystyczny klub seniora. W każdy poniedziałek potańcówki. Wieczory z polką. W drugi i czwarty wtorek każdego miesiąca przygrywa big-band albo orkiestra swingowa. Sami decydują, co to będzie.

- A tańce ludowe?

- W piątki wieczorem. I w soboty po południu. Taniec jest zdrowy. Poprawia krążenie, wzmacnia kości i stawy. Dzięki temu wielu z nich jest w lepszej formie niż ja.

Jego spojrzenie... Zmieniło się, gdy tak na nią patrzył. Dostrzegła w jego oczach coś... Akceptację? Więcej? Nie... Coś...

Szybko wypila duży łyk wina.

- W ciągu dnia seniorzy mają wiele zajęć. Malują. Wyrabiają ceramikę... Zajmują się rzeźbą w drewnie i snycerstwem. Robią modele. Tkają i szydełkują. I co tylko chcesz. Przychodzą i wychodzą, kiedy zechcą. Zwykle zjawiają się po śniadaniu i zostają do lunchu... Trzy razy w tygodniu odbywają się lekcje gotowania... Na obiad idą do domów, potem wracają na tańce.

- Nie ma wyjątków? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie ma. Też zwróciłam na to uwagę - powiedziała podekscytowana. - Wszyscy są tacy pełni życia. Oczywiście ulubionym tematem ich rozmów jest stan ich zdrowia. Co komu lekarz zalecił, jakie badania ostatnio przechodzili. Ale najważniejsze jest to, że te rozmowy toczą się podczas obrabiania kawałka drewna, naciągania osnowy na ramę czy polerowania butów do tańca. Są aktywni. Zaangażowani. Wciąż ćwiczą umysły. W głębi duszy są młodzi.

- I uznałaś, że w Augsburgu też potrzebne jest takie miejsce.

To byłoby zbyt łatwe.

- Prawdę mówiąc, napisałam list do lokalnej gazety. Zaapelowałam do mieszkańców, żeby sfinansowali takie centrum dla swoich emerytów. Może trochę nazbyt poetycznie napisałam, że świat byłby cudowny, gdyby na obszarach rolniczych było więcej ośrodków kulturalnych, które pozwoliłyby naszym rodzicom i dziadkom cieszyć się życiem i angażować w nie i psychicznie, i umysłowo tak długo, jak się da.

Milczała przez chwilę.

- W następnym tygodniu, kiedy pracowałam, wszedł do kościoła mężczyzna i spytał, czy nazywam się Emily Raines. A potem wręczył mi kopertę i wyszedł. W środku był wycinek z gazety, mój list i czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pochylił głowę na bok.

- Kto to był? - spytał.

- Nie mam pojęcia. Ani trochę. Na kopercie nie było adresu. Nic, co mogłoby pomóc mi odnaleźć Tajemniczego Świętego Mikołaja.

- Ktoś dał ci pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ot tak?

- Tak. Właśnie. Ja też nie mogłam w to uwierzyć. Przez tydzień oglądałam czek ze wszystkich stron. Nie mogłam przestać myśleć o tym wszystkim. - Westchnęła. Wzruszyła ramionami. - W końcu uznałam, że skoro dostałam czek wraz z kopią mojego listu, to powinnam zapewne wykorzystać te pieniądze na założenie gdzieś domu kultury dla seniorów.

- Mogłaś wpłacić te pieniądze jakiejś fundacji, wesprzeć któryś z istniejących już programów dla emerytów.

- Gdyby Tajemniczy Święty Mikołaj w ten sposób chciał wykorzystać te pieniądze, sam by to zrobił. - Pokręciła głową. Pokój zakręcił się wraz z jej głową. I kręcił się odrobinę dłużej niż jej głowa. - Jestem przekonana, że dał mi je, ponieważ chciał, żeby moja idea, mój pomysł dla Wiebeville rozprzestrzenił się na cały kraj.

- Dlaczego wybrałaś Wiebeville?

- Dużo tu starych ludzi. A poza tym właściciel tego budynku chciał za niego tylko trzydzieści tysięcy.

- Przeplaciłaś.

- Wcale nie - zaprotestowała. - Dwa piętra. Oprócz tego apartamentu wszystkie pomieszczenia to otwarte przestrzenie, które mogą zagospodarować wedle własnej woli. I jeszcze jest winda. Poza tym wytargowałam do dwudziestu dwóch i pół tysiąca.

Uniósł głowę i popatrzył na sufit.

- W jakim stanie jest dach? - spytał.

- W kiepskim - przyznała. - W tej części budynku dach ma piętnaście lat i trzyma się nieźle. Reszta... No cóż, cieknie jak rzeszoto. - Wyrzała przez okno. Deszcz padał tak intensywnie, że nie było widać parku po drugiej stronie ulicy.

Odwróciła się. Popatrzyła na Cole'a i uświadomiła sobie, że na pewno wypijała za dużo wina. I za szybko. Zerknęła na niemal pusty kieliszek.

- Jeśli będzie tak padać dłużej - powiedziała - będę mogła urządzić sobie basen w gabinecie.

Odstawiła pusty kieliszek.

- Taki wielki dach... Z pieniędzy Tajemniczego Świętego Mikołaja nie zdołasz tego opłacić - wyrokował z namysłem.

- Mam trochę pieniędzy w śwince-skarbonce.

- Musiałaby to być świnka wielka jak hummer. Zdecydowanie brakuje ci środków.

- Dam sobie radę. - Może finansowo tak będzie, ale... Stanowczo za dużo było tego wina. Będzie wstyd, jeśli spadnę z kanapy, pomyślała. Powinnam coś zjeść. No i skupić się. O czym rozmawialiśmy? O hummerach wielkości świnki. Nie, odwrotnie. O skarbonkach. O kosztach.

- Zamierzam zaczynać stopniowo i w miarę możliwości rozwijać działalność - powiedziała, szczęśliwa, że tak zgrabnie podtrzymała rozmowę. - Nie trzeba wiele, żeby zorganizować wieczorki taneczne. Odtwarzacz MP3, kilka głośników, coś na ząb i chłodnia pełna piwa... I można tańcować do białego rana. Albo do czasu, aż policja rozpędzi zabawę.

- Mogłabyś poprosić o dotację.

- Na co? Na piwo? - Czy to przez to wino, czy naprawdę uśmiechał się coraz krzywiej?

- Na dach, Emily. Mogłabyś poprosić o datki na remont dachu.

- Nie. To zły pomysł prosić ludzi o to, żeby składali się na prezent dla samych siebie.

Zaśmiał się cicho. Odstawił kieliszek.

- A gdybyś wystąpiła o wsparcie do jakiejś fundacji? Oni lubią takie akcje.

Zjadła krakersa i dwa kawałki sera. Pokiwała głową jak piesek za szybą samochodu.

- Fundacje przestrzegają precyzyjnych harmonogramów składania podań - powiedziała. - A teraz... Spóźnisz się z dokumentami o sekundę i musisz czekać do następnego roku. Pieniądze od Tajemniczego Świętego Mikołaja przyszły w złym momencie. W tym roku nic już z tego nie będzie. Zjadła jeszcze jeden kawałek sera.

- Moja przyjaciółka Beth... ona jest księgową... przygotowuje już dokumenty na następny rok. Chcę się ubiegać o pieniądze na maszyny do obróbki drewna. Wiesz, piły tarczowe, szlifierki, frezarki... Potrzebne mi także profesjonalne wyposażenie kuchni. Cała niezbędna reszta to drobiazgi. Można to kupić na wyprzedażach w sklepach dla majsterkowiczów w Kansas City.

- A co z ubezpieczeniem, podatkami, opłatami? Jak chcesz pokryć te koszty?

- Na ten rok wystarczy mi skarbonka. W następnym zobaczymy. Może dostanę jakiś kredyt?

- Czy twoja skarbonka to prawdziwa skarbonka, czy coś, co można nazwać kapitałem inwestycyjnym?

- Mam konto oszczędnościowe w poważnym banku.

Zachwiała się. Ale nie spadła z sofy. Dobrze!

- Jak oprocentowane? Dwa procent rocznie?

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. W ubiegłym roku dało to chyba dwadzieścia dolarów zysku. W każdym razie wystarczająco dużo, żeby zainteresować urząd skarbowy. I... - dodała ściszym głosem - jest zabezpieczone w federalnym funduszu gwarancyjnym.

- Teoretycznie - mruknął. - Ale twoje pieniądze nie pracują wystarczająco skutecznie.

- Jeśli uważasz, że powinnam zapisać się na kurs gry na giełdzie, to bardzo mi przykro. Mam już w planie szkolenie ze szlifowania podłóg.

- Widziałem cię ze szlifierką. Potrzebujesz szkolenia. Bardzo.

- I jeszcze kurs dla hydraulików i dekarzy. - Przegryzła kolejne winogrono. - Toalety są dla starszych ludzi bardzo ważne.

- Musisz pozwolić zawodowcom zainwestować twoje pieniądze.

- To prawda. Ale teraz potrzebna mi gotówka. Nie mogę jej zamrozić na długo.

- Słyszałaś o lokatach jednodniowych?

Prychnęła. Omal nie udławiła się kolejnym owocem.

- Jeśli masz zamiar się tym zająć... Nic z tego. Kompletnie się na tym nie znam.

Nie mogła przestać kasłać.

Podał jej kieliszek i poklepał po plecach.

- Dziękuję - szepnęła, zakłopotana.

Cole nie cofnął ręki z jej pleców. Drugą sięgnął do kieszeni po telefon.

- Cześć, Jase - powiedział. - Jakie masz plany na dzisiejszy wieczór?

Emily przez chwilę walczyła ze sobą. Z trudem opierała się pokusie położenia głowy na jego ramieniu.

- Dobrze - rzucił Cole do telefonu. - Potrzebne mi tu będzie małe stanowisko do pracy.

Odetchnęła głęboko. Doszła do wniosku, że taka woda kolońska powinna być zabroniona. Albo przynajmniej sprzedawana na receptę.

- Doskonale. Może być o ósmej - mówił Cole. - I dziękuję, Jase.

Rozłączył się.

- I tak, panno Raines, zatrudniła pani najlepszego specjalistę.

- Stać mnie na to? - Zajrzała mu w twarz.

- Nie sędzę, żeby opłata była wygórowana.

Boże! Ten ciepły głos. Czowała, jakby pod jego wpływem zaczynały mięknąć jej kości. Oparła mu głowę na ramieniu.

- Możesz, chociaż w przybliżeniu, powiedzieć mi, o jakich opłatach mowa? - spytała.

Schylił się. Dotknął ustami jej ust. Zacisnęła powieki i wstrzymała oddech. Pomału zarzuciła mu ręce na kark. Przycisnęła mocniej.

Odsunął się nieco i zajrzał jej w oczy. Uśmiechnął się.

- Wygórowana? - spytał.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek z taką przyjemnością płaciła rachunek - odparła. Wplotła palce w jego włosy.

- Naprawdę? - powiedział powoli. Wyjął kieliszek z jej dłoni i odstawił na stolik. - Może chciałabyś zapłacić coś akonto?

- Z rozkoszą. - Objęła go mocniej. Zaśmiał się, objął ją w talii i przytulił. Przywarła do niego natychmiast. Rozchyliła usta. Poczwała, że wyciągnął brzeg jej bluzki ze spódnicy. Westchnęła głęboko, kiedy poczuła jego dłonie na skórze, kiedy rozpiął jej stanik. Płonęła. Pochłaniała ją rozkoszna, cudowna...

Uwertura „Rok 1812”²?

² Utwór Piotra Czajkowskiego.

Nie tylko ona była zaskoczona. Cole poderwał się gwałtownie, wyrwał rękę spod jej bluzki.

- Przepraszam - rzucił i nerwowo wyszarpnął z kieszeni telefon. - Cześć, babciu - wychrypiał. - Co się stało?

Skrzywił się.

- Tak, to prawda - odparł do telefonu. - Ładnie z jego strony, że cię zawiadomił.

Augsburg, mamy problem, pomyślała.

- Nie, ależ skąd - ciągnął. - Zaraz będę.

Rozłączył się z ciężkim westchnieniem.

- Masz przyjechać do domu, bo zjawi się Jase, tak?

Znów westchnął. Wstał.

- Nie może pozwolić, żeby Jason zobaczył taki bałagan - powiedział. - Poza tym musi jeszcze upiec ciasto. I trzeba zmienić ręczniki w łazience. I naszykować pokój gościnny. I.I.I. - Przeciągnął palcami po włosach. - A ponieważ on jest moim pracownikiem, muszę jej pomóc zostać boginią gościnności.

Emily wstała. Wciągnęła rękę w rękaw bluzki i zsunęła z niej ramiączko rozpiętego stanika.

- Dużo bym zapłaciła, żeby zobaczyć cię w fartuchu - rozmarzyła się.

- Tak? - spytał. - I w czymś jeszcze?

- Tylko w fartuchu.

Mrugnął szelmowsko i roześmiał się.

- Na to mogę przystać - powiedział.

Roześmiała się także. Wyciągnęła stanik spod bluzki i rzuciła na stolik między nimi. Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Ile czasu trzeba, żeby upiec ciasto i zmienić ręczniki? - spytał, nie odrywając oczu od skrawka na pół przezroczystej bielizny.

- Więcej, niż ci się marzy - odparła. Podeszła do drzwi. - Ale dam ci dzisiaj obietnicę. Do realizacji w dowolnym momencie.

Wymamrotał coś niezrozumiale.

- Proszę. - Otworzyła drzwi i wręczyła mu kluczyk do samochodu. - Weź rovera. Jeśli pójdziesz pieszo, przemokniesz. Możesz oddać mi go rano.

- Dzięki.

Patrzył na nią z wahaniem. Przez moment pomyślała, że ją pocałuje.

- Do jutra - powiedziała.

Uśmiechnął się do niej i wyszedł.

- Naprawdę nie mogę się już doczekać - rzucił przez ramię.

Zamknęła drzwi i oparła głowę o chłodne drewno. Jutro. Zaczekam, pomyślała. Dam radę. Musiała. Gdyby bowiem Ida przyłapała ją na wspinaczce przez okno do sypialni jej wnuka, jej kruche, stare serce mogłoby tego nie wytrzymać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Emily popatrzyła na szare niebo za oknem i rozmasowała obolałe ramiona. Miała za sobą ciężką, nieprzespaną noc. Rano dobrą godzinę usuwała wodę sprzed frontowych drzwi. Później musiała odpowiadać na miliony pytań od pięciu elektryków naraz.

Koszmar.

Popatrzyła na zegarek i westchnęła. Siedem minut. Tyle minęło od czasu, kiedy po raz ostatni sprawdzała czas. Zastanawiała się, kiedy przyjedzie Cole.

- Za... łos... ne - mruknęła. Zdjęła zegarek i położyła na otwartej pokrywie skrzynki z narzędziami. - Będzie, kiedy będzie. Ani sekundy wcześniej. Nie marudź, tylko weź się do roboty. Nie ma nic bardziej zenującego niż siedzenie przy telefonie i czekanie, aż zadzwoni.

W zamyśleniu przyglądała się leżącemu przed nią na stole warsztatowym witrażowi. Dopasowywała w myślach brakujące kawałki szkła. Sięgnęła po narzędzia.

Ostrożnie przytknęła rozgrzany grot lutownicy do miejsca, w którym stykały się trzy kawałki szkła. Srebrna kropla spoiwa spadła na rozłożoną poniżej blachę i szerniała, stygnąc. Przesunęła narzędzie do następnego miejsca i powtórzyła operację. Pracowała powoli, systematycznie. Krok po kroku. Uwalniała zabytkowy kawałek szkła ze skomplikowanych kształtów oprawy wykonanej przez nieznanego artystę ponad sto lat wcześniej.

Po kilku minutach usunęła cały metal łączący szklany kawałek. Odstawiła lutownicę na stojak i ostrożnie wyjęła szkło z ramy. Oczyszczyła je i uniosła do światła.

Żadnych pęknięć, żadnych skaz.

- Czwarty gotowy - skwitowała. Specjalnym mazakiem napisała cyfrę na szkłe. - Jeszcze siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilka przede mną. - Naniósł cyfrę na przygotowanym na pergaminie szablonie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panno Raines.

Odwróciła się, uśmiechnęła do elektryka... Mike'a?

- Nic się nie stało. W czym mogę pomóc? - spytała.

- Czy w stolarni chce pani mieć dwa, czy cztery gniazdka?

- A pan co by radził?

- Moim zdaniem powinny być cztery.

- Zatem cztery.

- Dobrze. - Zapisał coś w notesie. - Niech sprawdzę... Żebym znowu pani nie musiał przeszkadzać.

Podczas gdy on przeglądał notatki, Emily pochyliła się nad stołem.

- Wydawało mi się, że miałaś dzisiaj szlifować podłogę.

Cole! Pojaśniała na twarzy.

- Dzień dobry - przywitała go. Ciekawe, czy kiedykolwiek pomyślał o tym, żeby zostać modelem. Przyglądała mu się, odkładając narzędzia do skrzynki.

- Dobry - rzucił.

Położył na blacie kluczyki od jej auta.

- Nic tu więcej nie widzę, panno Raines. Dziękuję - powiedział Mike.

- Proszę pytać, jeśli tylko będzie potrzeba - zawołała za odchodzącym elektrykiem.

- Kiedy rano zlikwidowałam basen we frontowym pokoju - zwróciła się do Cole'a - włączyłam szlifierkę na próbę. Nic z tego. Drewno było zbyt mokre. Pył jest okropny, ale taka kleista maź jest jeszcze gorsza. Podobno jutro po południu pogoda ma się poprawić. Dopóki wszystko nie wyschnie, nie można cyklinować, malować, bejcować ani nawet piec bez.

- Bez?

- Takich ciastek z ubitych białek - wyjaśniła

- Kiedy jest tak duża wilgotność, białka źle się ubijają. Nie da się też zrobić siedmiominutowego lukru. Choć muszę ci powiedzieć, że nawet przy najlepszej pogodzie nigdy nie zdołałam zrobić siedmiominutowego lukru szybciej niż w kwadrans. Wysoko uniósł brwi.

- Sądzisz, że kiedykolwiek zetknąłem się z siedmiominutowym lukrem? - spytał.

- Bywa często na babkach drożdżowych. Jasny, delikatny. Smakowity.

- Człowiek każdego dnia dowiaduje się czegoś nowego. - Popatrzył za siebie. Jeden z elektryków wszedł, odwijając z dużej szpuli żółty kabel. - Im wilgoć nie przeszkadza.

- Dzisiaj robią nową instalację. Przysięgli, że pogoda nie ma dla nich znaczenia.

- A ty nad czym pracujesz? - Podeszedł do stołu.

- To jest zlecenie pewnego małżeństwa z Minneapolis - odparła. Z rozkoszą wciągnęła w nozdrza wspaniały zapach Cole'a. - Odbudowują starą, wiktoriańską posiadłość i ludzie ze Smithsonian skierowali ich do mnie. Ponieważ nie mogą pojechać i pracować u nich na miejscu, przysłali okna do mnie. Pieniądze nie są dla nich problemem.

- Najwyraźniej. To chyba trudna praca, prawda?

- Raczej tak.

- To okno jest bardzo zniszczone.

- Tamten dom stał niezamieszkały ponad trzydzieści lat. Sporo złego zrobili wandalę. Potem ktoś, w dobrej wierze, schował okna do wilgotnej piwnicy. Co każe ludziom tłuc szkło? - Pokręciła głową. - Naprawa tego zajmie mi na pewno ponad pięćdziesiąt godzin. I pochłonie sporo materiałów. A te dużo kosztują. Ale kiedy skończę, będzie wyglądać lepiej, niż kiedy powstało.

- Ale transport będzie kosztował więcej niż naprawa.

- Już ci powiedziałam, że pieniądze nie mają znaczenia. A skoro już o nich mowa, zapomniałam cię spytać wczoraj wieczorem, jak zamierzasz rozliczyć mnie za to, co masz dla mnie zrobić?

- Nie martw się tym teraz. Otwarłem rachunek maklerski i zdeponowałem na nim dla ciebie dziesięć, na początek. Kiedy wypłacę ci zyski, wycofam swój kapitał.

- Dziesięć? Stać mnie na więcej niż dziesięć dolarów. Nie jestem żebraczką.

- Dziesięć tysięcy.

Oniemiała.

- To dużo pieniędzy - powiedziała ostrożnie. - Naprawdę doceniam to, ale zostało mi jeszcze dwadzieścia...

Uniósł rękę.

- Nigdy nie ryzykuj ponad miarę - poradził.

- Gdyby przypadło gdzieś nagle twoje dwadzieścia tysięcy, przepadnie też nowy dach. Tych dziesięć tysięcy to zabezpieczenie. Nie martw się. Stać mnie na to. Sprawa załatwiona.

- Dziękuję. - Nie pozostało jej nic więcej do powiedzenia.

- Nie ma za co - uśmiechnął się.

- Skoro już się stało... Jakie akcje posiadam?

- Wprowadzę cię pokrótce, zanim ruszy giełda - powiedział z niekłamana satysfakcją. - Długoterminowe ropy naftowej i pszenicy, ale z automatyczną opcją sprzedaży, gdy wskaźniki osiągną założony poziom krytyczny.

Emily nawet nie starała się zrozumieć. Pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Nigdy wcześniej nie słyszałam greki, ale brzmi niezwykle seksownie.

Czuła ciepło jego ciała. Przenikało ją. Mieszało myśli. Odsunęła się prędko. Parsknała śmiechem.

- Zakładamy, że banki stracą mnóstwo pieniędzy i...

- To niezbyt uprzejmie.

- Uprzejmość nie jest strategią biznesową - odparł. - Zwłaszcza że notowania rosną albo spadają.

Zmarszczyła się.

- To jak zarabiasz pieniądze, jeśli ceny twoich akcji spadną? - spytała.

Westchnął.

- Wygląda to tak, że ty nie masz w banku żadnych własnych akcji. Pożyczyłaś je od kogoś.

- Jak go znalazłam?

- Z ogłoszenia.

- Dobrze. Dalej.

Posłał jej ciepły uśmiech.

- A zatem - ciągnął - pożyczyłaś je i obiecałaś, że po kilku tygodniach oddasz z pewnym zyskiem. A potem sprzedałaś komuś innemu.

- Nie możesz sprzedać czegoś, co nie jest twoją własnością. To nielegalne.

- Nie na giełdzie.

Nie przekonał jej.

- Żartujesz sobie ze mnie, prawda?

- Nie. Ani trochę - odparł poważnie. - Założmy teraz, że sprzedawałaś akcje po dziesięć dolarów i że cena spadła do pięciu dolarów za sztukę. Odkupujesz je po pięć dolarów i oddajesz pożyczone pieniądze. A sama zarabiasz na jednej akcji pięć dolarów. Jeśli obrócisz tysiącem akcji, ile zarobisz?

- To dla mnie za trudne - sapnęła. - Matematyka! Zgiń, przepadnij, szatanie!

- Pięć tysięcy - powiedział i przewrócił oczami. - Przecież to proste.

- Może i proste - przyznała. - Ale nie dla mnie.

- No tak, zarabianie pieniędzy na giełdzie jest łatwe. Dopóki nie przyjmiesz błędnych założeń. Jeśli źle ocenisz trendy, cena, po której będziesz musiała odkupić akcje, będzie wyższa niż ta, po której je sprzedawałaś. Wtedy stracisz nie tylko koszulę, ale i spodnie, skarpetki, a nawet bieliznę.

- Ooo! Rozbierana gra na giełdzie - ożywiła się. Wyobraziła sobie Cole'a Prestona na koniec takiego interesu. - Mógłbyś sprzedać bilety, wiesz?

Zespół „Chippendales z Wall Street”. Erotyczny taniec z neseserami.

W oczach zapaliły mu się wesole ogniki. Odchrząknął.

- Tak czy siak, zakładamy, że cena baryłki ropy będzie rosła. To samo z ceną pszenicy. Oczywiście pamiętasz, że mówimy o długiej perspektywie. Aktualne trendy cen towarów są jak przeblysłk niebios pośród niestabilności rynku. To takie ekscytujące!

I tak niewiele zrozumiała.

- Ooo! Więcej greki! - westchnęła. Odpięła jeszcze jeden guzik bluzki i pomachała brzegiem spódnicy. - Tracę oddech.

- Ja też - przyznał. Wbił w nią badawcze spojrzenie. Czy zauważył, że tego ranką nie miała stanika? - O której twoi robotnicy mają przerwę na lunch?

- Pracują bez przerw, bo jutro muszą być już gdzie indziej.

- Gdzie te związki zawodowe, kiedy są potrzebne? - mruknął. Uniósł głowę i spojrział jej w oczy. Oboje zobaczyli to samo: nieskrywane pożądanie. - Chciałabyś pojechać do mojej babci i zobaczyć centrum dowodzenia?

- Czy to tak, jakbyś pytał dziewczynę, czy chciałaby obejrzeć twoje ryciny? - droczyła się.

- W tym przypadku to znaczy dokładnie to samo.

Słyszała w jego głosie, jak bardzo jest spięty.

Zauważyła, jak pociemniało mu spojrzenie. Jak mocno zacisnęła szczęki.

- Domyślam się, że Ida pojechała do Klubu Seniora - powiedziała.

- Ma zamiar grać tam w brydża przez cały dzień.

- Z rozkoszą obejrzę twoje centrum dowodzenia - zdecydowała. - Muszę tu trochę sprzątnąć. To potrwa tylko kilka minut.

Zaczęła porządkować warsztat, jeszcze zanim skończyła mówić. Kiedy poczuła na pośladkach jego gorące dłonie, aż podskoczyła. Popatrzyła na niego groźnie przez ramię.

- Zrób tak jeszcze raz - ostrzegła - a Bóg mi świadkiem, że pożałujesz.

- Życie powinno być przygodą. - Cofnął się o krok. - Odrobina niebezpieczeństwa...

- Niebezpieczeństwo jest w porządku - rzuciła. Z trzaskiem zamknęła skrzynkę z narzędziami. - Ale ekshibicjonizm to coś zupełnie innego.

- To przestań się wypinać i mnie prowokować. Jestem tylko człowiekiem.

Ona też.

- Muszę zabrać torebkę z mieszkania i możemy iść.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Nie będzie ci potrzebna - powiedział.

Czy to oznacza, że zamierza pojechać do Idy samochodem? - myślała, idąc za nim do windy. Czy też znaczy to, że ma swoje prezerwatywy i nie będą potrzebne te, które od wieków nosiła w torebce? Ciekawe, czy mają datę ważności? Jego na pewno były świeżutkie. Jej nie.

Kiedy zasunął wewnętrzne drzwi, nacisnęła guzik. Nagle Cole wyprostował się.

- Hej! Mam pomysł! - zawołał.

Wyciągnął rękę do kasety z przyciskami.

- Nie! - krzyknęła i złapała go za rękę. - Włączy się alarm. Jest strasznie głośny.

Ręce mu opadły.

- Cholera. To było fantastyczne marzenie.

- To prawda - przyznała. - Mało prawdopodobne, ale naprawdę niezłe.

Zerknął na nią. Uśmiechnął się radośnie. Najwyraźniej jej szczerość zaskoczyła go.

- Czy można jakoś wyłączyć ten alarm? - spytał.

- Owszem. Ale nie teraz i nie stąd.

- Zajmę się tym po powrocie - obiecał.

- A tak dla twojej wiedzy - powiedziała, kiedy znaleźli się na parterze - w mojej wizji miałam na sobie gorset, króciutką spódniczkę i szpilki.

- Naprawdę? Jak krótką?

- Gdybym się pochyliła - powiedziała obojętnie - zobaczyłbyś, że nie mam majtek.

Zatrzymał się w pół kroku. Stała i ona, czekając, aż Cole pozbiera się trochę. Dwa razy przełknął z trudem ślinę, zanim ruszył dalej. Przed frontowymi drzwiami spytał:

- Jak myślisz, o której ci elektrycy skończą? Ale go ruszyło!

- Mówili, że około siódmej. - Nie miała litości. - Zaczekaj.

Zatrzymała się na widok jednego z elektryków wyjmującego skrzynkę z narzędziami z bagażnika.

- John! - zawołała.

- Słucham, proszę pani?

- Czy moglibyście przy okazji wyłączyć alarm w windzie? Kiedy wożę na piętro meble i wyposażenie, muszę przytrzymać czasem drzwi otwarte dłużej i wtedy strasznie hałasuje.

- Zaraz się tym zajmę, panno Raines.

- Dziękuję, John. Wrócę niedługo. Gdyby pojawił się jakiś problem, mam przy sobie telefon.

- To było sprytne - pochwalił ją Cole cicho. Otworzył przed nią drzwi auta.

- Moja wizja nie przewiduje spędzania czasu w piwnicy: ja z latarką, ty szukający odpowiedniego bezpiecznika do wyłączenia.

Zaśmiał się wesoło, zatrzaskał drzwiczki i ruszyli do domu babci.

- A co ja miałem na sobie w twojej wizji? - spytał.

- Szeroki uśmiech.

- To oczywiste. Co jeszcze?

- Niech pomyślę. - Usadowiła się wygodniej, zamknęła oczy. - Szary garnitur. Biała koszula. Czerwony krawat. - Uśmiechnęła się. - Interesujące. - Spojrzała na niego. - Ty też nie miałeś na sobie bielizny.

- Najwidoczniej chciałem być gotów na każdą okazję.

- Ja byłem pierwsza. Sam wiesz.

Uśmiechnął się szeroko.

- Mnie to odpowiada - zapewnił. Zaparkował samochód przed domem babci. - To twoja winda. Ja tylko wybieram się na przejażdżkę.

- Tak, pewnie.

Zaśmiał się i wysiadł z auta. Emily nie czekała, żeby otworzył jej drzwi. Sama świetnie sobie radziła. Po chwili wspinali się po schodach.

Już w progu zauważyła, że salon jej starszej przyjaciółki zupełnie zmienił oblicze. Zniknął gdzieś stojący pod ścianą bufet wraz ze znajdującymi się na nim zwykle srebrnymi świecznikami i porcelanowymi figurkami. W jego miejscu stało proste, współczesne obszerne biurko, a przed nim krzesło biurowe. Na blacie zaś stało... siedem świecących monitorów, cztery stacje dysków i dwie laserowe drukarki.

- Matko święta! Cole. Czy w Pentagonie mieli wyprzedaż garażową? To wszystko twoje czy wypożyczone?

- To mój zestaw podróżny. Absolutne minimum.

- Mam nadzieję, że nie będę świadkiem szturmowania lotniczego. Chociaż brzmi seksownie. Nawet bardziej niż greka.

Zaśmiał się. Wziął ją za rękę i poprowadził do centrum dowodzenia.

- Chciałabyś sprawdzić, jak się mają teraz notowania twoich akcji?

Jak mogła odmówić, gdy tak bez litości holował ją po beżowym dywanie? Ale dostrzegła potencjalne możliwości wśród ekscytujących urządzeń. Postanowiła kuć żelazo póki gorące.

- Powinnam chyba choćby z grubsza się zorientować, ile już ci jestem winna za zarządzanie moimi aktywami.

Zatrzymali się przy biurku. Emily objęła go w pasie. Cole otoczył ją ramieniem. Popatrzył na nią ze zdziwioną miną.

- Ty wierzysz w chwytanie okazji - powiedziała miękko. - Ja zawsze staram się spłacać swoje zobowiązania.

Schylił głowę. A jej serce zabiło mocniej. Zacisnęła powieki i rozchyliła usta. Komputer zapiszczał cicho. Emily zachwiała się, tak szybko Cole wypuścił ją z objęć.

- Usiądź - rzucił, wpatrzony w monitory.

- Może ty powinieneś usiąść - zasugerowała. - Ty tu teraz rządzisz.

Spojrzał na nią przez ramię i posłał jej szelmowski uśmiezek.

- Teraz akurat nie bardzo mogę usiąść. Byłoby mi bardzo niewygodnie - powiedział.

- Naprawdę? - mruknęła, siadając. Zastanawiała się, czemu naprawdę nie chciał usiąść. Czy to z jej powodu?

- Tak, naprawdę.

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Delikatnie dotknęła potężnej wypukłości z przodu jego spodni.

- Zdarza ci się czasami marzyć w pracy? - spytała.

- Tobie na pewno - odparł. Wbił w nią gorące spojrzenie. - Na razie mi się to podoba.

- O, tak. Widzę. - Pomasowała mocniej. - Mogę zobaczyć więcej?

Wyprostował się. Odwrócił się ku niej.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odparł, rozpinając suwak.

- Cóż za zgodny dżentelmen.

- Czy dżentelmen, to nie wiem. - Odślonił się do końca. - Ale na pewno zgodny. -

Rozpiął pasek.

Nie czekała, aż skończy. Ujęła w dłoń jego członek i ścisnęła. Zaczęła poruszać miarowo.

- I jeszcze umięjący docenić - wychrypiał. Kiedy przyspieszyła, gwałtownie wciągnął powietrze i zacisnął zęby. Odchylił głowę i jęknął głośno. - Cudownie!

Mówił prawdę. Ona sama zaczęła płonąć. Z każdą jego reakcją rosło jej podniecenie.

Dźwięk, który wpadł jej w ucho, był stłumiony, ale wyraźny. Zastygła bez ruchu, nadstawiała uszu.

- Co? - sapnął Cole. - Nie przestawaj!

- Słyszałam samochód - ostrzegła.

Tyle miał w twarzy niedowierzania i wściekłości, że z trudem pohamowała śmiech. On tymczasem popędził do okna.

- Cholera! - zawołał, mocując się z rozporkiem. - To babcia i cały jej klub brydżowy!

Emily opadła na krzesło. Wyciągnęła przed siebie nogi i przyglądała się, jak gorączkowo usiłował doprowadzić się do porządku. Potem osunął się na oparcie fotela i zastygł z poważną miną.

Emily westchnęła cicho i uśmiechnęła się.

A zza okna dobiegały głosy Idy i jej trzech przyjaciółek. Zmierały do domu, pokrzykując wesoło.

Emily popatrzyła na Cole'a.

- Czy to twoja najlepsza poza z rodzaju Nie-robiłem-nic-złego? Muszę ci powiedzieć, że marnie to wygląda.

- Boże - jęknął. Opuścił ramiona. Rozejrzał się nerwowo, potem prawie podbiegł do niej. - Wstawaj!

Uśluhała.

- Myślałam, że niewygodnie ci siedzieć - dogryzła z niewinnym uśmiechem.

- Teraz to nie ma znaczenia. - Usiadł i złapał myszkę od komputera. - Babcia i jej koleżanki nadchodzą.

Stała za nim i zawisła na oparciu krzesła. Pochyliła się i szepnęła mu wprost do ucha:

- Zawsze się zastanawiałam, co może oznaczać pojęcie „ciśnienie deflacji”. Teraz już wiem. Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego.

- Twoja edukacja ekonomiczna postępuje w zastraszającym tempie.

Pocałowała go w ucho.

- Chciałbyś być moim nauczycielem? - szepnęła.

- Nie pomagasz mi, wiesz?

- Wiem - zaśmiała się.

Wyprostowała się i wbiła wzrok w monitor przed nimi.

- Cole! - zawołała Ida radośnie. - Emily! Co za wspaniała niespodzianka, moi drodzy. Gracie w którąś z tych gier komputerowych?

Emily odwróciła się do niej z uśmiechem.

- Witaj, Ido. Nie gramy. Cole próbuje mnie nauczyć podstaw inwestowania na giełdzie. Ale nie jestem najlepszym uczniem.

- Łatwo się rozprasza - powiedział Cole, nie odwracając wzroku od monitora.

- Czy będziemy wam przeszkadzały, jeśli pogramy sobie w brydża w jadalni? - spytała Ida. - Wczoraj w nocy była dezynfekcja kuchni w klubie i strasznie tam jeszcze śmierdzi. Myślałyśmy, że wytrzymamy, ale Gładys rozboleła głowa.

- Mnie nie będziecie przeszkadzały, Ido - zapewniła Emily. - Ani trochę. Myślę, że twój biedny wnuk dość już ma na dzisiaj frustracji z mojego powodu. Lepiej pojedę do siebie. Sprawdź, jak idzie robota elektrykom.

- Odwiozę cię - zaproponował Cole.

Chciał wstać, lecz położyła mu ręce na ramionach.

- Dziękuję, Cole - powiedziała. - Spacer dobrze mi robi. - I nim zdążył zaprotestować, skierowała się do drzwi. - Trzeba dbać o mięśnie i formę. Nigdy nie wiadomo, kiedy ci przyjdzie wystartować w maratonie.

Zatrzymała się z ręką na klamce i obejrzała się. Patrzył za nią jak rozbitek za oddalającą się łodzią ratunkową.

- To o której, mówiłeś, jemy dziś kolację? - rzuciła.

Natychmiast wrócił mu dobry humor.

- Chyba ustaliliśmy, że około siódmej.

- Świetnie. Spotkamy się w „U Vita”. Będę w zielonej sukience.

- Ja myślałem o szarym garniturze i czerwonym krawacie. Może być.

- Brzmi apetycznie. - Uśmiechnęła się do jego babci. - Powodzenia w grze, Ido. Dołóż im.

Ida zaśmiała się, a Emily wyszła, lekka i szczęśliwa. Życie jest piękne, pomyślała. Pozostało jej tylko mieć nadzieję, że Cole spędzi popołudnie, zarabiając dla niej na giełdzie wielkie pieniądze.

Maszerując dziarsko, układała w głowie plan na najbliższe godziny. Najważniejsze to sprawdzić, czy jeszcze się zmieszczę w zieloną sukienkę, pomyślała. Jeśli nie, będę musiała pojechać do Kansas City na zakupy.

Poza sukienką wszystko inne nie było ważne. Owszem, świeża pościel, świece czy kilka butelek chłodnego wina będą mile widziane. Ale w końcu miały być tylko małym dodatkiem na zakończenie podróży windą.

Nie, tylko kompletne spełnienie marzeń wchodziło w rachubę. Nie godziła się na nic innego. Kiedy wejdzie do restauracji, Cole ma oniemić z zachwytu. Potem, po deserze pozostanie już tylko wytrwać, aż dotrą do windy. A kiedy zamkną się za nimi drzwi...

Tak, życie było piękne. A nim dzień dobiegnie końca, powinno być jeszcze piękniejsze. A następny poranek...

- Trzeba wyszorować prysznic - powiedziała, wchodząc do domu. Zaczęła gorączkowo liczyć czas. Dwie godziny do Kansas City i dwie z powrotem, godzina na posprzątanie mieszkania i godzina na zrobienie się na bóstwo. Mało czasu!

Ale niewątpliwie Cole Preston wart był wysiłku. A nawet nie tyle sam Cole, co ta noc, która miała nadejść. Pełna niepohamowanego, szalonego, odbierającego zmysły seksu.

Weszła do mieszkania i włączyła komputer. Podczas gdy drukowała się mapa dojazdu, wyjęła z szafy zieloną sukienkę i przymierzyła.

Emily popatrzyła na zegarek. Dziesięć minut nie robi różnicy. Usiadła na kanapie. Mapkę położyła na stoliku do kawy. Miała nieprzeparowane wrażenie, że jej podróż oddala się w niebyt.

- Co się stało? - spytała przyjaciółkę, kiedy Beth wróciła z kuchni z kubkiem kawy.
- Czemu przyjechałaś?
- Dekarze mają tu zaraz być. Niespodzianka!

- Okazało się, że niespodziewanie mają dwa wolne dni, a do tego zgodzili się zrobić twój dach o siedem tysięcy taniej niż inni. Natychmiast wysłałam im zlecenie, żeby nikt nas nie ubiegł. A przy okazji, twój podpis jest bardzo łatwy do podrobienia - uświadomiła jej przyjaciółka, bardzo z siebie zadowolona.

Wyjazd do Kansas City już przepadł. Zapewne zdążyłaby jeszcze, ale co dalej? Gdy po dachu będą się kręcić ludzie z wiadrami pełnymi smoły, mogą mieć pytania, problemy do rozwiązania.

Nie, nie mogła sobie pozwolić na spędzenie całego dnia na przygotowaniach do spotkania z Cole'em.

TLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Emily zacisnęła zęby. Wlała do puszki rozpuszczalnik i z wściekłym zapalem zaczęła szorować lewą dłoń. Tyle głupich rzeczy zrobiła w życiu... W zadumie przyglądała się smole na rękach. Schodziła? Nie za bardzo.

Boże! Co dalej? Przecież nie mogła się nigdzie pokazać w takim stanie. A już na pewno nie mogła pójść na kolację z Cole'em. Żadna, nawet najseksowniejsza sukienka nie sprawi, że mężczyzna oślepie i nie zauważy, że nosząca ją kobieta cały dzień tarzała się w smole. Z rozpaczą w sercu ponownie zamoczyła szmatkę w rozpuszczalniku.

- Hej.

Serce skoczyło jej do gardła.

- Cole - jęknęła. - Co ty tu robisz?

Cole stał w drzwiach do kuchni z uniesionymi brwiami. Ale udał, że nie dostrzegł chłodu powitania.

- Znudziło mnie gapienie się w ekran komputera - wyjaśnił. - Pomyślałem, że przyjadę, spytam, czy może mogę w czymś pomóc.

Wróciła do szorowania ręki.

- Dziękuję, niczego nie potrzebuję.

Nie musiała niczego tłumaczyć. I tak wszystko widział. I czuł. Spojrzał na puszkę z rozpuszczalnikiem. Oparł się o brzeg stołu i przyjrzał się Emily uważnie. Miała smołę na kolanach, na rękach, we włosach i na lewym uchu. Przechylił głowę na bok. Cały tył jej spodni też był wymazany.

Czekał. Lecz ona nie spieszyła się z wyjaśnieniami.

- Dobrze, spytam wprost. Tarzałaś się po nowym dachu?

Opuściła ramiona.

- Skoro już musisz wiedzieć. - Odwróciła wzrok. - W przyływie czystej, niczym niezmaconej uprzejmości zaniósłam chłopakom pracującym na dachu talerz czekoladowych ciasteczek, które upiekłam. Wtedy z czystą, niczym niezmaconą gracją potknęłam się, zawadziłam o wiadro ze smołą i wylądowałam na tyłku przed oczyma zajadających się ciastkami dekarzy.

Zacisnął zęby, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Zażerali się tymi ciastkami - ciągnęła - wsparci na swoich szczotkach, i gapili się, jak nieporadnie starałam się wstać tak, żeby nie pogorszyć sprawy. Co za wstyd!

Odchrząknął.

- Kiedy tak na ciebie patrzę - odważył się w końcu odezwać - dochodzę do wniosku, że twoje starania nie były zbyt udane.

- Też coś! - warknęła. - Dopiero kiedy udało mi się jakoś podnieść na kolana, któryś w końcu podał mi rękę i pomógł wstać.

- Popatrz na to z jaśniejszej strony. Będiesz miała wspaniałą historię do opowiedzenia w barze.

- Cudownie! - Podniosła puszkę z rozpuszczalnikiem. - Powiedzieli, że to świetnie zmywa smołę. Ale nie wspomnieli, że trzeba przy tym zedrzeć dwie warstwy skóry.

- Mogę ci pomóc? - Miała w oczach fascynującą mieszaninę zmartwienia i niechęci. - Kiedy byłem w liceum, całe lato przepracowałem na budowie. Mam spore doświadczenie w usuwaniu wszelkiego brudu bez nadmiernych ofiar i wyrzeczeń.

- Jak? - spytała pospiesznie. Może nawet trochę nazbyt pospiesznie.

- Musisz zacząć od porządnej, długiej gorącej kąpieli. Gorąca woda zmiękczy smołę, część zmyje. Potem łatwiej będzie usunąć resztę rozpuszczalnikiem. Wskakuj pod prysznic, rozmiękczy brud, a potem ja go usunę.

Wyprostowała się, wysoko uniosła brwi.

- Co? - spytał. - To naprawdę działa. Przecież bym cię nie okłamał.

Z puszką rozpuszczalnika w ręce poszła do swojej sypialni.

- Nie będę się kąpała razem z tobą, Cole'u Preston - uprzedziła stanowczo. - Nie będziesz mnie oglądał nagiej.

Skrzywił się. Nie będzie jej oglądał nagiej? Co to miało znaczyć? Dlaczego to powiedziała? Odtworzył w myślach cały dzień. Krok po kroku. Pojechali do babci w poszukiwaniu odrobiny prywatności. Po drodze rozmawiali w windzie o swoich fantazjach. U babci... Gdyby babcia i jej przyjaciółki nie pojawiły się w domu, byłiby nadzy oboje, w kilka minut. Potem umówili się na kolację.

A teraz ona mówi, że nie zobaczy jej nagiej? Kręcąc głową, poszedł za nią.

Łazienka była po prawej stronie sypialni, dokładnie na wprost łóżka. Nie było tam drzwi. Lecz wanna z prysznicem osłonięta była całkiem nieprzezroczystą zasłoną. Jej dzinsy i bluzka leżały na podłodze obok wanny.

- No, dobrze, jestem oficjalnie zakłopotany - powiedział, wchodząc do łazienki. Akurat w chwili, gdy zza zasłony wyfrunęły majteczki i spadły na stertę ubrań.

- Udawaj, że tam są drzwi - zawołała, przekrzykując szum wody.

Niezrażony, usiadł na małej komódce pod ścianą.

- Popraw mnie, jeśli się mylę - powiedział - ale mam wrażenie, że byliśmy umówieni na fantastyczną przejażdżkę windą, czyż nie?

- Byliśmy. Po kolacji w „U Vita”.

Ciekawe. Nie zaprzeczyła. Przeciwnie, zdawało się, że czekała na to!

- Może jednak coś przegapiłem? Czy wieczór ma się zakończyć po przejażdżce?

- Mam wielką nadzieję, że nie.

I znów odparła bez wahania, szczerze. Zupełnie nie mógł jej zrozumieć.

- Czy to nie oznacza, że w nocy zobaczę cię nagą?

- W nocy - odparła. - Teraz jest popołudnie.

Jeśli sądziła, że miało to dla niego sens...

- A co za różnica? - spytał.

- Duża.

Westchnął ciężko.

- Czy to ma związek z Kobięcym Kodeksem, o którym faceci nie mają zielonego pojęcia? - spytał.

- Tak.

Dziwne dźwięki doleciały zza zasłony.

- Płaczesz? - zaniepokoił się.

- Nie.

Na Boga! Beczeć z powodu odrobiny smoły?

- Dlaczego płaczesz, Emily? Długo musiał czekać na odpowiedź.

- To nie jest tak, jak myślisz - powiedziała głosem pełnym łez i wściekłości.

Cole zacisnął powieki. Przeczesał palcami włosy. Chciałby ją jakoś pocieszyć, ale jednocześnie z trudem tłumił śmiech.

- Dobrze. - Starał się, by zabrzmiało to poważnie. - Weź głęboki oddech, poczekaj minutę, a potem zechciej mi wyjaśnić, co też tak bardzo cię zasmuciło.

Emily stała w strugach gorącej wody i obracała w myślach jego słowa. Czuła, że pytał szczerze, a mimo to miała chęć zbyć go jakimś banałem. Ale czuła też, że byłoby to nieuczciwe.

Otarła oczy, pociągnęła nosem i zaczęła:

- Miałam zamiar pojechać dzisiaj do Kansas City i spędzić cały dzień w spa. Chciałam zrobić sobie manicure i pedicure, chciałam kazać się nawoskować i wymasować. Zamierzałam poleżeć w solarium, żeby... - Nie, każda szczerłość ma jakieś granice. - Westchnęła przeciągle. - Ale nie, uznałam, że muszę postępować odpowiedzialnie, że muszę zostać tutaj i rozwiązać problem dachu.

- Odpowiedzialność to dobra cecha, Emily.

- Tak, wiem. A teraz stoję pod prysznicem i usiłuję zderzyć z siebie smołę, a ty siedzisz na mojej komodzie i starasz się mnie pocieszyć, i obiecujesz pomóc szorować wszystkie miejsca, których nie mogę osiągnąć. To się nie mieści w żadnej fantazji z windy!

- Oczywiście! Fantazja z windy zaczyna się, kiedy zamkną się drzwi windy, i kończy, gdy się otworzą.

Nie zrozumiał.

- Chodziło o to, żebyś myślał o mnie przez cały dzień, wyobrażał mnie sobie w pojętej sukience - powiedziała. - Żebyś zobaczył mnie dopiero, kiedy wieczorem wejdziesz do „U Vita”, i żebyś oniemiał z zachwytu. Wszystko przepadło. Marzenia rozsypały się w proch.

Nie odezwał się. Chyba. Wystawiła głowę spod szumiącej wody i nasłuchiwała. Coś usłyszała. Dźwięk dziwny, głuchy, stłumiony...

- Śmiejesz się? - spytała.

- Nie. Absolutnie nie - skłamał przez ściśnięte zęby. - Mówiąc szczerze, też chce mi się płakać.

- To nie jest zabawne, Cole.

Odchrząknął. Odzyskał kontrolę nad sobą.

- Czy chcesz, żebym wyszedł? Jeśli tak, powiedz.

- Gdybyż to robiło jakąkolwiek różnicę... Żebyś chociaż udawał potem, że nigdy mnie takiej nie widziałeś. Przecież nie umiałeś nawet udać, że tu są drzwi!

- Emily, najdroższa - powiedział uspokajająco jak do dziecka. - Jestem facetem. Rzeczywistość nie jest w stanie zrujnować moich fantazji. I kiedy wejdiesz wieczorem do „U Vita”, na pewno odbierze mi mowę.

Ku jego zaskoczeniu uwierzyła mu. Uśmiechnęła się. Ale nie chciała przecież, żeby pomyślał, że poddała się tak łatwo. Dlatego powiedziała nadęsanym głosem:

- Ale to nie będzie to samo.

Chociaż nie mogła go zobaczyć, Cole uniósł rękę.

- Przysięgam, że mój zachwyty będzie równie wielki. Nic nam tego nie zepsuje.

Brzeg zasłony odsunął się odrobinę. Dość, by mogła na niego popatrzeć. Skóra piekła ją od wrzątku, włosy w nieładzie oblepiały twarz. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Czy mógłbyś podać mi ściereczkę i puszkę z rozpuszczalnikiem? Stoi na szafce za tobą.

Z puszką w dłoni stanął przed wanną.

- Czy masz pojęcie, jaka jesteś teraz śliczna?

- Cole...

Patrzył jej prosto w oczy jak zahipnotyzowany. Podał puszkę.

- Słodka i pikantna. Nieprzyzwoita i miła. Dotknął palcem jej nosa, zgarnął krople wody.

Dotknął jej ust. A ona musnęła pocałunkiem jego palec. Czysta gwałtowna żądza rozpałała mu krew. Gdyby został tam jeszcze chwilę dłużej...

- Do zobaczenia wieczorem - powiedział cicho. - To ja będę tym chłopakiem, który oszaleje z zachwyty.

Emily skinęła głową. A przynajmniej tak jej się wydawało. Pewna była tylko tego, że odchodził, ale zostawiał jej coś, co pozwoliło jej zapomnieć o wszystkich dramatach i rozczarowaniach tego dnia i sprawiło, że poczuła się kimś naprawdę wyjątkowym.

Cole wytarł głowę i rzucił ręcznik na łóżko. Zawiązał szlafrok i podszedł do szafy. Kątem oka zobaczył babcię. Szła korytarzem do swojego pokoju.

- Cześć, babciu! - zawołał. - Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

Zatrzymała się w drzwiach jego pokoju.

- Wybieram się do kręgielni.

- Słucham? - rzucił z niedowierzaniem.

- Och, na Boga, przecież nie będę grała w kręgle. - Wybuchła śmiechem. - Dostałam zaproszenie do pierwszego rzędu. Będzie grał Edgar Moore.

- Jest taki dobry?

- Nie mam pojęcia. Ale wiem, że jest to jedyny w mieście mężczyzna po sześćdziesiątce, który tak się trzyma. Pozostali to słabeusze.

- Babciu!

- Daj spokój. On jest żonaty. - Lekceważąco machnęła ręką. - Poza tym ma długie włosy. - Uśmiechnęła się. - Może jestem stara, Cole, ale daleko mi jeszcze do desperacji. No i nie jestem całkiem ślepa. Mam ci wyprasować koszulę?

- Dziękuję, nie trzeba, babciu - odparł, układając ubrania na łóżku.

- Jestem taka szczęśliwa, że ty i Emily wyjaśniliście sobie wszystkie wątpliwości. Wiesz, bardzo ładnie razem wyglądacie. Mam nadzieję, że miło spędzisz wieczór. Zostawię ci włączone światło, ale nie musisz wracać o jakiejś konkretnej porze. Nie będę na ciebie czekała.

- Dziękuję, babciu - powiedział.

Miło było wiedzieć, że babcia aprobowała...

Cole usiadł na łóżku. W głowie zaczęły mu się kłębić gorączkowe myśli. W jaki sposób... Psiakrew, ona... I to wszystko... Ale sam przecież... A może rzeczywiście...

Przycisnął ręce do skroni. Rozpaczliwie starał się uspokoić. Pozbierać myśli, opanować je. Wykonał głęboki wdech i wstał.

Zaczął krążyć po pokoju. Próbował analizować wszystkie sprawy i wydarzenia ostatnich dni.

Jak to się stało, że znalazł się w domu babci, w mieście na końcu świata? Przyjechał zaniepokojony żądaniem Idy, by zlikwidował pokaźny pakiet jej akcji i przekazał

pieniądze na rzecz projektu socjalnego w Augsburgu jej nowej przyjaciółki. Gdy to usłyszał, rzucił wszystko i popędził do niej.

A co zastał po przyjeździe? Śliczną, radosną długonogą blondynkę o cudownie zaokrąglonych piersiach, która z ochotą chciała urzeczywistnić każdą jego fantazję.

Emily była też inteligentna, zabawna i zachwycająca.

I tu leżał pies pogrzebany. Tego właśnie się obawiał już od... Zawahał się.

- Mniejsza z tym - mruknął. - To i tak nie ma znaczenia.

Ważne było to, że kompletnie zapomniał, w jakim celu przyjechał do Augsburga. Z jakimi podejrzeniami. Oraz to, że zupełnie wyleciał mu z głowy plan, który sobie ułożył, gdy uścisnął dłoń tej zielonookiej diablicy i przyjął zawieszenie broni.

Cole zmarszczył brwi. Wbił wzrok w podłogę. Chociaż właściwie, jak się tak zastanowić, jego plan, by się trzymać jak najbliżej Emily Raines, żeby nie mogła niecnie wykorzystać babci... albo innych niewinnych osób... realizował się doskonale. Nawet jeśli zapomniał, że taki był jego cel. Ale skoro wszystko szło lepiej nawet, niż zakładał... Nikomu się krzywda nie działa. Niczego nie musiał się obawiać.

Był jednak inny problem. Co zrobić z babcią? Nie mógł spędzić reszty życia w Augsburgu. To znaczy, mógłby. Z tymi wszystkimi komputerami, szerokopasmowym łączem do internetu i tak dalej. Ale za to do lotniska, gdzie stał jego samolot, było bardzo daleko. A poza tym nie był w stanie pracować, gdy Emily była w pobliżu.

Zdziwił się swoimi myślami. Podświadomie założył bowiem, że przygoda z Emily nie skończy się z upływem tygodnia. A znając siebie, musiał przyznać, że takie założenie było mocno naciągane.

Gdy kończyły się jego związki fizyczne, sytuacja wracała do normy. Zawsze tak było. Ale z babcią to inna sprawa. Wiódł takie życie, że nie mógł jej doglądać nieustannie dzień za dniem.

Emily Raines... Drobiazgowo śledztwo Jasona nie dało żadnych rezultatów. A jego instynkt podpowiadał mu, że jej intencje były czyste i szczerze. Niemniej jednak pięćdziesiąt tysięcy od nieznanego dobrodzieja wciąż budziło jego podejrzenia. A z drugiej strony, chociaż nie dał jej do ręki ani grosza, to przecież zainwestował na jej konto w bardzo ryzykowne operacje swoje pieniądze. I do tego doradzał jej za darmo.

- No, może nie całkiem za darmo - mruknął. Uśmiechnął się i spojrzął na zegarek.

Pół godziny to dość czasu, żeby poszperać w internecie, pomyślał. Rozejrzę się za domami opieki, wybiorę ze dwie, trzy oferty. Będę się mógł zastanowić.

Gdyby zdołał to zrobić przed wyjazdem do „U Vita”, mógłby, czekając na Emily, przyjrzeć im się starannie i przemyśleć rzecz dogłębnie. Był pewien, że kiedy ona się pojawi, nie będzie już mógł myśleć o niczym.

Cole z uwagą wpatrywał się w dwie gęsto zadrukowane kartki papieru. Pociągnął łyk wina i czytał dalej. Chociaż zdołał już ograniczyć wybór do dwóch ofert, decyzja ani trochę nie stała się łatwiejsza. Pod żadnym względem. Jedno miejsce, na Florydzie, przypominało trochę statek wycieczkowy na lądzie. Dwanaście jadalni, dwadzieścia sal gimnastycznych, świetnie wyposażone zaplecze medyczne. A wszystko otoczone okazałym parkiem. Miesięczna opłata też była okazała, ale tym się nie przejmował. Cena nie miała znaczenia. Liczyło się szczęście babci. A że wciąż miał w pamięci słowa Emily, że ludzie starsi wolą żyć w swoim małym świecie, zastanawiał się, czy rozległe przestrzenie kampusu na Florydzie będą dobrym rozwiązaniem.

Druga oferta doskonale spełniała warunek kameralności. Mieściła się w Sedonie w Arizonie. Był to niewielki pensjonat dla ośmiu osób. Z własnymi kucharzami, lekarzami i pielęgniarkami przez całą dobę. Przeczytał opis jeszcze raz. Nic nie wspominali o ćwiczeniach ruchowych. To był argument przeciw. Cena podobna jak na Florydzie. Zatem wszystko będzie zależało od babci. Gdzie się będzie czuła lepiej?

Wybór będzie należał do niej. Ale on sam chciał mieć wyrobioną opinię, zanim zacznie z nią rozmowę.

Przy stole pojawił się kelner.

- Przepraszam, że przeszkadzam, sir. Prosił pan, żeby dać panu znać, kiedy zjawi się pana towarzysza.

- Dziękuję - odparł Cole.

Złożył papiery i wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Potem wstali przyglądał się Emily. Szła między stolikami. Kiedy go zobaczyła, uśmiechnęła się. Szczęście i nadzieja skrzyły się w jej oczach jak kryształki, którymi obszyta była krawędź jej dekol-

tu. Najgłębszego, jaki kiedykolwiek widział. Wystarczył jeden palec i leciutkie pociągnięcie, by można było pocałować jej pępek.

Tak jak obiecała, miała na sobie zieloną sukienkę na cienkich ramiączkach związanych na karku. Przez chwilę zastanawiał się, czy węzeł był łatwy do rozwiązania. Ale to nie miało znaczenia. Materiału było tak niewiele, że wystarczy, by wsunął ręce pod kryształową krawędź i rozsunął ją nieco, a już będzie w siódmym niebie.

Popatrzył niżej.

Sukienka kończyła się kilka centymetrów nad kolanami. Powiewna tkanina owijała się wokół jej nóg przy każdym kroku. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażał. Kiedy stała tuż przed nim, myślał tylko o tym, by się z nią kochać. Choćby na tym stole, na środku restauracji.

- Dobry wieczór, panno Raines. - Schylił się i musnął pocałunkiem jej różowe wargi. - Czy wolno mi powiedzieć, że wyglądasz olśniewająco?

- Dziękuję, panie Preston. Ty też jesteś całkiem przystojny.

- Kiedy zadzwoniłem tutaj po południu, prawie wszystkie stoliki były już zarezerwowane. Mam nadzieję, że ten ci odpowiada?

- Jest doskonały. - Usiadła. - W tym kącie jest prawie jak w dżungli. Tyle tu roślin. Bardzo miło. I dyskretnie.

- Mnie też przyszło to do głowy. - Usiadł obok niej. - Pozwoliłem sobie zamówić już wino.

- Pomyślałeś o wszystkim.

- Mam nadzieję. - Uniósł kieliszek. - Za przygodę.

Cicho zadźwięczało stuknięte szkło.

- Z odrobiną niebezpieczeństwa - dorzuciła. Skoro już o niebezpieczeństwie mowa...

- Co tam u twoich elektryków? Skończyli?

- Sprząтали i pakowali się, kiedy wyjeżdżałam. Dlatego włożyłam jeszcze wierzchnią spódnicę. Nie chciałam, żeby któryś z nich doznał wstrząsu.

- Wierzchnią spódnicę? - Czyżby to, co miała na sobie, nie było prawdziwą sukienką?

- To coś takiego jak narzutka na kostium kąpielowy - wyjaśniła. - Owijasz ją dookoła bioder, żeby zachować pozory skromności, kiedy się znajdziesz w miejscu publicznym.

- A co masz pod spodem?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Bardzo krótką, bardzo dopasowaną sukieneczkę, w której na pewno nie można się pokazać publicznie. - Zawiesiła głos. - Chcesz zerknąć?

- Nie.

Zamrugła, zaskoczona. Pochylił się ku niej i szepnął:

- Chcę zobaczyć wszystko.

Rozejrzała się dookoła. Potem rozpięła wąski pasek, rozchyliła na boki i odsunęła spódnicę za siebie, na krzesło. Skrzyżowała długie, bardzo długie nogi i wyciągnęła je przed siebie.

Słodki Jezu! Wcale nie żartowała. Sukienka naprawdę była bardzo krótka i bardzo obcisła. Krew uderzyła mu do głowy. Musiał wyglądać naprawdę niezwykle, bo wybuchła śmiechem. Potem wyprostowała się i sięgnęła po kieliszek z winem.

- Jak się dzisiaj mają moje akcje? - spytała.

- Na razie nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego - bąknął. - Kursy wahały się, lecz nie sięgnęły wartości krytycznych. Wciąż masz tyle co na początku.

- To pech - westchnęła. A on nie wiedział, czy naprawdę była rozczarowana, czy był to ciąg dalszy jej gry. A może tylko się z nim droczyła.

- Wiele może się zdarzyć w nocy - powiedział z przekonaniem. - Może rankiem będziesz najbogatszą kobietą w Augsburgu.

Jej uśmiech był niesamowity. Cudowne iskierki w oczach jaśniały jak gwiazdy. Serce zaczęło mu bić mocno.

- Bogactwo nie jest najważniejsze - podkreśliła. - Ale byłoby miłym dodatkiem.

Parsknął śmiechem. Wspaniale się czuł w jej towarzystwie. Życie z nią mogłoby być niesamowite. Zerknęła na niego i sięgnęła po menu.

- Właściwie nie jestem głodna, ale chyba powinniśmy coś zamówić.

- Masz rację. - On także otworzył kartę.

- Na co masz ochotę?
- Na ciebie - odparł. - To ta sukienka.
- Dziękuję. Miałam nadzieję, że będzie... inspirująca.
- To oczywiste. - Nachylił się do jej ucha i szepnął: - Gdybym wiedział, kiedy zjawi się kelner, już całowałbym twoje uda.

Nie powiedziała ani słowa. Lecz nagle zabrakło jej tchu. Wbiła niewidzące spojrzenie w jądłospis. A on uśmiechnął się leciutko, wyciągnął rękę i pogłaskał ją po biodrze.

Zamrugła. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Wyprostowała się na krześle.

- Może opowiesz mi o firmach, w które zainwestowałeś? - spytała cicho.
- Tchórz. - Zaśmiał się, odsunął i poprawił na krześle.
- Ostatnio jadłam tutaj kurczaka po hindusku. Był dobry, ale dzisiaj chyba spróbuję czegoś innego.

- Zawsze może być lasagne.
- To prawda, ale chyba byłaby zbyt ciężkostrawna. Nie chciałabym zapaść po kolacji w drzemkę.

- To byłoby prawdziwe nieszczęście.
- Chyba wezmę krewetki. A co z tobą?
- Mnie możesz mieć, kiedy tylko zechcesz. Powiedz tylko słowo, słodka Emily, a wyjdziemy stąd natychmiast.

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Może jednak opowiesz mi o firmach, w które zainwestowałeś?
- Uparciuch.
- Możliwe.
- Zauważyłem. Masz też ekscytującą skłonność do ryzyka. Mogę ci powiedzieć, że to wyjątkowo pobudzająca kombinacja.

Spuściła oczy. Ale nim zdążyła odparować, pojawił się kelner.

- Dobry wieczór państwu - powiedział. - Mam na imię Gino i będę do państwa dyspozycji przez cały wieczór. Czy mogę przyjąć zamówienie?

Cole rozlał do kieliszków resztkę wina. Nie mógł wyjść ze zdumienia, jak to się stało, że przez cały czas miał w głowie tylko jedno. Jak to było możliwe, że Emily siedziała obok niego wsparta na łokciach i wypytywała go o jego inwestycje, a on miał wrażenie, że nigdy nie uczestniczył w bardziej podniecającej kolacji.

Kiedy kelner sprzątnął nakrycia, spytała:

- To jak? Masz zamiar zainwestować w firmę „Louisiana Cane Company”?

- Jeszcze nie zdecydowałem - przyznał Cole.

- Co cię powstrzymuje? Chodzi o technologię? Pokręcił głową.

- Nie. Ta jest w porządku. W LCC nie wymyślają prochu. Ich inżynierowie zbudowali w ciągu ostatnich pięciu lat z tuzin instalacji biochemicznych w Brazylii. Są w tym najlepsi.

- To o co chodzi?

- Nie jestem przekonany, czy nasz rząd jest skłonny popierać jakiegokolwiek inne źródła biopaliw poza kukurydzą - wyjaśnił. - Producenci kukurydzy mają świetnie zorganizowaną, dobrze opłacaną i bardzo zdeterminowaną grupę lobbystów, którzy wciąż zabiegają o ich interesy. Producenci trzciny cukrowej z Luizjany nie mają takiego wsparcia.

- Ale - powiedziała z namysłem - jeśli zaryzykujesz i postawisz na nich, może się zdarzyć, że osiągną wyniki takie jak w Brazylii, a wtedy...

- Będę bogatszy od Billa Gatesa.

- Robi wrażenie. Jaka jest stawka w tej rozgrywce?

- Na początek dziesięć milionów.

- Stać cię na stratę dziesięciu milionów?

- Nie lubię tracić pieniędzy. - Uśmiechnął się smutno. - Ale, tak, stać mnie na takie ryzyko.

- Czy mogę się przyłączyć?

- Nie. - Doskonale wiedział, co miała na myśli.

- Przykro mi.

- Szkoda. Wszystkie te obroty, zakłady, trendy są takie...

- Jak greka?

- Lepiej - westchnęła.

Poprawiła się na krześle.

- O wiele.

- Naprawdę? Jak bardzo?

Spodziewał się, że pozwoli mu zobaczyć kolejny skrawek jej cudownie prowokacyjnego stroju, ale ona bez słowa chwyciła go za klapy marynarki i pocałowała. Poczował na wargach czubek jej języka i natychmiast cały świat, wszyscy kelnerzy zniknęli w niebycie. Rozchylił usta, objął ją w talii i przyciągnął mocno do siebie. A kiedy położyła mu nogę na kolanach, całkowicie stracił poczucie rzeczywistości.

Jeden głos w jego głowie krzyczał ostrzegawczo, że przecież są w restauracji. Drugi uspokajał, że obrus jest długi. Zsunął dłonie w dół, wzdłuż jej bioder. Usłyszał jej ciche mruknięcie zadowolenia. Jedną ręką mocniej chwycił ją w pasie, drugą odnalazł brzeg sukienki i wsunął pod nią dłoń.

Uniosła głowę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Jestem gotowa na deser, a ty?

Uśmiechnął się.

- Tylko zapłacę i zaraz możemy ruszać - powiedział.

Wyprostował się, wyjął z portfela studolarowy banknot, rzucił go na stół i podał jej rękę. Wstali. Sięgnęła za siebie, jakby chciała założyć wierzchnią spódnicę.

- Och, nie - zaprotestował.

Wyjął jej spódnicę z ręki.

Wahała się tylko przez ułamek sekundy. Posłała mu gorący uśmiech i wzięła go pod ramię.

- Szkoda czasu na sprzeczki - powiedziała.

Z przewieszoną przez ramię spódnicą Cole zamknął drzwi windy i stanął pod ścianą. Emily, patrząc mu prosto w oczy, nacisnęła przycisk. Winda ruszyła, a ona uśmiechnęła się wyczekująco.

Nie mógł jej sprawić zawodu. Sięgnął za siebie, nacisnął guzik i zatrzymał windę. Kiedy wyciągnął ręce po Emily, spódnica spadła na podłogę. Wsunął dłonie pod brzegi dekoltu. Marzył o tym przez cały wieczór. Ścisnął palcami jej sutki.

Emily gwałtownie wciągnęła powietrze. Fala gorącego pożądania spłynęła na jej piersi. Zdumiewające, jak niewiele było trzeba, jak szybko jej ciało reagowało na najmniejszy dotyk Cole'a. Głaskała go po piersi, po muskularnych ramionach. Potem sięgnęła do paska jego spodni.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu? - spytała.

Nim zdążył powiedzieć, że nie, pasek był już rozpięty. Sięgnął do kieszeni i wyjął małą paczuszkę. Gdy rozrywał folię, Emily rozsunęła zamek.

- Ja? - spytał. - Czy ty?

- Ty - odparła. Ściągnęła mu spodnie. Nie ma bielizny, pomyślała z uznaniem. - Ale z moją pomocą.

Zacisnęła dłoń. Usłyszała głośny syk wciąganego przez zęby powietrza. Potem delikatnie odsunął jej rękę i nałożył prezerwatywę.

Szelmowski, pełen zachwytu uśmiech rozjaśnił jej twarz. Popatrzyła mu prosto w oczy. Boże, jaka ona piękna! - pomyślał. Marzenie każdego mężczyzny. A przecież prawdziwa, realna, żywa. Krew i kości, pożądanie i namiętność. I cała dla niego. Objął ją. Chwycił za pośladki i przycisnął do siebie.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, odchyliła głowę do tyłu i podała mu rozchylone usta. Całym ciałem czuła bicie jego serca. I czuła budzące się w niej pragnienia. Kolana zmiękły jej tak bardzo, że musiała się chwycić Cole'a z całych sił. Boże, nigdy dotąd nie zdarzyło jej się, by pożądanie owładnęło nią tak prędko.

Jej zmysły stały się nadzwyczaj czułe, a ciało wrażliwe. Każdy ruch sprawiał, że jej piersi przenikała fala rozkoszy. Gorący ucisk na jej brzuch przyprawiał ją o dreszcze. Wspięła się na palce i jeszcze mocniej przycisnęła się do niego. Zacisnęła rękę na jego karku. Bezgłośnie błagała, by zaspokoił jej rosnące pragnienia.

Głuchy dźwięk wydobył się z ust Cole'a. Jego dłonie powędrowały w dół, do krawędzi sukienki. Pociągnął ją aż na jej biodra. Emily pisnęła cicho i rozsunęła nogi. Pragnęła go. Już. Natychmiast. Teraz.

Cole miał w uszach tylko dudnienie własnej krwi. Ale usłyszał gdzieś z oddali po-naglające: „Teraz”. Czekał na tę chwilę. Od dawna. Chwycił ją za pośladki i uniósł do góry. Natychmiast oplotła go nogami w talii. Przytulił się do niej mocno. Obrócił się,

oparł ją plecami o ścianę. Ponaglany gwałtownymi pocałunkami ugiął kolana i spełnił jej żądanie.

Odrzuciła głowę i głośno wypuściła powietrze. Spojrzała mu prosto w oczy. A on odpowiedział jej uśmiechem i zaczął się poruszać. Raz za razem. Mocniej i szybciej.

- Jeszcze. Boże, jeszcze - jęknęła. Oczy uciekły jej w tył głowy. - Tak - szeptała za każdym ruchem. - Nie przestawaj, Cole.

Cały świat zawirował. Przestał istnieć. Emily stała się częścią rozpedzonego pożądania. Żar i pragnienie spełnienia owładnęły nią całkowicie. Kołysała się w rytm ruchów Cole'a. Fale rozkoszy, coraz potężniejsze, docierały do każdego skrawka jej rozedrganego ciała.

Aż w końcu krzyknęła głośno. Zadygotała w spazmatycznym uniesieniu. Wygięła plecy w łuk, przycisnęła biodra do potężnego ciała Cole'a. Szeptała niezrozumiałe słowa.

On zaś mocniej chwycił ją za biodra, przycisnął. Zadrzał w gorącej eksplozji spełnienia.

Znieruchomieli, rozkoszując się przeżyтыми wspólnie doznaniem.

Po chwili Emily uśmiechnęła się. Pocałowała go w usta. W brodę i w szyję. Obsypała go serią delikatnych pocałunków. Pomału odzyskiwali oddechy.

Emily poczuła zawstydzienie, że tak bardzo się skupiła na własnej rozkoszy, że kompletnie zapomniała o Cole'u. Chciała go przeprosić, wytłumaczyć się jakoś. Oblizwała spieczone wargi. Nabrała głęboko powietrza. Wtedy jego pierś i ramiona zaczęły drżeć.

Pogłaskała go i spytała cicho:

- Śmiejesz się czy płaczesz?

Podniósł głowę z jej ramienia i popatrzył jej w oczy.

- Śmieję się... trochę.

- Czemu?

Musnął jej usta pocałunkiem lekkim jak skrzydła motyla.

- Ponieważ - odsunął się nieco - jestem tak wyczerpany i szczęśliwy, że chyba długo jeszcze nie dam rady się ruszyć.

- Tak mi przykro, że nie byłam z tobą - powiedziała. - Kompletnie się zatraciłam we własnej rozkoszy. Egoistka.

Zachichotał. Uścisnął ją lekko.

- Jeśli poprawi ci to humor, ja byłem z tobą tylko przez kilka sekund. Potem znalazłem się w zupełnie innym świecie. Może następnym razem uda nam się nieco zwolnić, żebyśmy mogli przeżywać to wspólnie.

Teoretycznie to jest możliwe, pomyślała.

- Muszę uczciwie powiedzieć, że może upłynąć trochę czasu, zanim będę w stanie znów to zrobić. Nigdy przedtem nie zaznałam czegoś podobnego.

- Naprawdę? - Pocałował ją. - Wiesz, że potraktuję to jak kolejne wyzwanie, prawda?

Boże, błogosław mu. I daj mu dość sił.

- Nie jest ci ciężko?

- Ani trochę. Całkiem sprawnie przyszpiliłem cię do ściany.

- Powiedziałabym, że cudownie. Nie skarżę się. Mogłabym spędzić tak całe życie albo dłużej. - Ale gdy to mówiła, poczuła bolesny skurcz w nogach. - No, może troszkę przesadziłam. Chyba zeszywniałam.

- W porządku. - Roześmiał się. - Spróbujmy, czy uda nam się wyjść z tego jakoś i nie upaść.

Powoli, ostrożnie postawił ją na podłogę. Zachwiała się lekko, ale Cole ją podtrzymał.

A potem cmoknął ją szybko i zrobił krok do tyłu. Poprawili ubrania, pozapinali się. Wtedy Emily nacisnęła przycisk i uruchomiła windę.

Uśmiechnięci padli sobie w ramiona. I pocałowali się namiętnie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Życie jest piękne, pomyślała Emily. Wyciągnęła ramiona za głowę i uśmiechnęła się do sufitu. Z łazienki dolatywał szum wody z prysznica. Gdyby nie była kompletnie wyczerpana, mogłaby wstać z łóżka i raz jeszcze urzeczywistnić swoje fantazje. Pierwszą wspólną kąpiel wzięli zaraz po wejściu do mieszkania. Ambitne plany powolnego, wspólnego docierania do orgazmu spłynęły ze strugami wody.

Ale nie mogła narzekać. Kolejny raz był równie pospieszny, ale równie satysfakcjonujący, jak cudowne interludium w windzie. Może nawet lepszy, gdyż zarzuciła Cole'owi na kark zrolowany ręcznik, którego mogła się trzymać, gdy oboje odlecieli na księżyc.

Potem zasnęli. Tak wyczerpani, że gdy się zbudzili, wciąż leżeli spleceni, zawinięci w wilgotne ręczniki.

Tak, życie jest piękne. Ale wszystko co piękne...

Emily westchnęła i podniosła się z łóżka. Dzień wstał już dawno i świat wzywał ich nieubłaganie. Mogła przynajmniej pozbiierać ubranie Cole'a, żeby miał wszystko gotowe, kiedy wyjdzie z łazienki. Włożyła jedwabny szlafroczek i wiążąc pasek, weszła do salonu.

Parsknęła śmiechem. Ubrania porzucone na podłodze znaczyły prostą drogę od drzwi wejściowych do sypialni. Jasno i prosto opowiadały, co zaszło tam kilka godzin wcześniej. Schyliła się po jego skarpetki i slipy. Dalej leżała koszula. Tuż obok krawat i buty. A marynarka, razem z jej zieloną sukienką, przy drzwiach.

Podniosła marynarkę i strzepnęła energicznie, żeby ją choć trochę rozprostować. Z kieszeni wypadła kartka papieru. Emily podniosła ją i odruchowo rzuciła wzrokiem na wydrukowane słowa. Zamarła. Przeczytała wszystko jeszcze raz. Powoli i uważnie.

Cholera. Cholera, cholera, cholera. W pierwszej chwili przeleciało jej przez myśl, żeby udąć, że niczego nie widziała. Że nic jej to nie obchodziło. Ale tak nie było. I choć całkiem nie tak wyobrażała sobie koniec wspólnej nocy z Cole'em, nie mogła przemilczeć faktu, że poznała jego plany w stosunku do przyszłości Idy.

Zaniosła ubrania Cole'a do sypialni. Starannie ułożyła je na łóżku. Usiadła w rogu łóżka, rozłożyła przed sobą znalezione papiery i zaczęła je uważnie studiować.

Pensjonat na Florydzie przypominał połączenie kasyna ze statkiem wycieczkowym. Blask bił z fotografii, oszałamiał. Przytłaczał. Ale za cztery tysiące miesięcznie za podstawowy pakiet oferta trochę rozczarowywała.

Sedona... Czytając ofertę, miała nieodparte wrażenie, że właściciele ośrodka prowadzili wcześniej schronisko dla bezdomnych psów, ale zbankrutowali. Ale jeśli od każdego psa chcieli cztery tysiące miesięcznie, to nic dziwnego, że im nie wyszło. Dlatego nie spodziewała się, że z ludźmi pójdzie im lepiej.

Pomału poskładała kartki wzdłuż wcześniejszych zagięć. Nagle uniosła głowę i zobaczyła Cole'a. Stał w drzwiach łazienki. Jednym ręcznikiem owinięty był w pasie, drugi miał przerzucony przez szyję. Wpatrywał się w kartki, które trzymała.

Przyłapał ją. A ona przyłapała jego. Nie było potrzeby udawania. Oboje wiedzieli, co wisiało w powietrzu.

Emily rzuciła kartki na łóżko.

- To wypadło z marynarki, kiedy zbierałam twoje ubrania. Kolejna planowana inwestycja? - spytała z nadzieją, że to jednak nie to, co podejrzewała.

- Dobrze wiesz, że nie. - Podeszedł do łóżka. W głębi duszy była mu wdzięczna za szczerość

Chociaż w sercu czuła bolesny żal.

- Co Ida myśli o tych miejscach? - spytała.

Podniósł koszulę. Sprawdził, czy zostało przy niej choć kilka guzików.

- Jeszcze jej tego nie pokazałem.

- Sprytnie - rzuciła sucho i uniosła brwi. - Gdybym była na twoim miejscu, naprawdę dobrze bym się zastanowiła i to niejeden raz, zanim zdecydowałabym się wysłać ją do domu starców.

- Żaden z tych ośrodków nie jest domem starców - zaprotestował. Odrzucił koszulę i sięgnął po papiery. Przyglądał im się w skupieniu, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. - Są niedaleko. Wyglądają niezwykle uroczo. A przeczytałaś, ile różnych usług proponują pensjonariuszom?

Wyciągnął ku niej rękę z wydrukami. Z niemą modlitwą o cierpliwość wzięła papiery. Przeczytała raz jeszcze. Cole tymczasem włożył koszulę i zapiał trzy ocalałe guziki.

- No, dobrze. - Odłożyła kartki na łóżko. Cole zaś ze zdumieniem stwierdził, że przy mankietach też nie ma guzików. - Przeczytałam. A teraz, Cole, pozwól, że zapytam, dlaczego chcesz wydawać co miesiąc cztery tysiące, skoro Ida może mieć dokładnie to samo znacznie taniej, mieszkając tu, gdzie mieszka teraz?

- Nic nie rozumiesz - burknął, zawijając rękawy.

- Najwyraźniej. A więc oświeć mnie.

- To moja babcia, nie twoja. To ci argument!

- Ida jest moją przyjaciółką. I mogę się założyć o każdą biorafinerię, że ona prędzej umrze, niż pozwoli się umieścić w domu starców.

- Te ośrodki trudno nazwać domami starców.

Z trudem powstrzymała gniew.

- Tak? - syknęła. - A jest tam po sąsiedzku przedszkole? Mają świetlicę dla dzieci? Harcerki sprzedające ciasteczka własnego wypieku? I harcerzy sprzedających popcorn? Czy licealiści urządzają parady przebierańców? Czy widziałeś na tych fotografiach choćby jedną osobę młodszą niż sześćdziesiąt pięć lat?

- Przecież to jest osiedle dla emerytów - rzucił niecierpliwie. Usiadł na krawędzi łóżka plecami do niej i włożył slipy. - To są miejsca, w których ludzie mogą żyć w spokoju. Nienarażeni na nękanie przez natrętne dzieciaki z niechcianymi ciasteczkami i popcornem. Z dala od źle wychowanych nastolatków.

Cóż za gigantyczny stereotyp, pomyślała.

- Być może jest w tym trochę prawdy - przyznała. - Ale zwykle są to takie miejsca, Cole - ciągnęła cierpliwie - gdzie ludzie więdną po cichu i umierają z dala od swych rodzin, z poczuciem winy, z przekonaniem, że nikomu nie są potrzebni.

Wstał, zrzucił ręcznik i pospiesznie wciągnął spodnie.

- To są takie miejsca, gdzie starsi ludzie są chronieni, są bezpieczni.

- Chronieni przed czym?

Posłał jej tak wymowne spojrzenie, że rozumiała, że nie powinna dalej pytać. Ale musiała dokładnie zrozumieć, o co mu chodziło.

- Nie powiesz mi, że jesteś jednym z tych, którzy uważają, że za każdym krzakiem czai się seryjny morderca, tylko czekający, żeby się rzucić na staruszkę idącą do skrzynki pocztowej po czek z emeryturą.

- Zaczynasz być śmieszna.

- Odpowiedz mi - nalegała. - Dokładnie i precyzyjnie. Przed czym Ida musi być chroniona?

Usiadł ponownie, żeby włożyć buty.

- Przed nieograniczonym dostępem - powiedział.

- Co? - Emily aż podskoczyła. - Chcesz zrobić z niej Strefę 51³?

³ Strefa 51 - wyjątkowo starannie strzeżona tajna baza wojskowa w stanie Nevada.

Cole westchnął ciężko.

- Babcia jest wyjątkowo łatwowierna - powiedział. - Znasz te natrętne listy elektroniczne z prośbami o wsparcie? Przychodzą ich dziesiątki każdego dnia. Kalekie dzieci, poparzone dzieci, dzieci z Trzeciego Świata, sieroty, żołnierze, marynarze, misjonarze, delfiny, wieloryby, karibu, bizona, ślepe psy, koty bez ogonów, lasy w Brazylii, lód w Antarktyce...

- Wiem, Cole - przerwała mu łagodnie.

Pokręcił głową.

- Ty jesteś na liście adresowej Smithsonian Institution w sprawach witraży. To wspaniale. Moja babcia jest na listach adresowych wszystkich szaleńców i maniaków, jakich nosi Ziemia. Oni potrzebują pieniędzy i wysyłają setki ulotek do Idy Bentley. I wszyscy oczekują, że Ida wyśle im czeki, kiedy tylko dostanie takie przesyłki.

Westchnął. Przeczesał palcami włosy.

- Na Boga, Emily - ciągnął - ona ma z tuzin pudełek po butach pełnych takich listów.

- Nie każda jałmużna jest szalona albo niegodziwa - zauważyła ostrożnie.

- Sęk w tym - powiedział ze smutkiem - że babcia nie potrafi tego odróżnić. W zeszłym roku kupiła sześć jałówek dla wioski w Gwatemali, osiem par królików dla jakiejś wioski w Indiach i opłaciła operacje plastyczne dla trojga sierot z zajęczymi wargami w Transylwanii Dolnej. A może w Górnej, nie wiem. Nieważne. Istotne jest to, że wszystko to razem kosztowało ponad piętnaście tysięcy.

- Czy ona nie miała tych pieniędzy?

- Pieniądzy jej nie brakuje - powiedział ponuro.

- To w czym problem, Cole? - nalegała. - Skoro to są jej pieniądze, ma prawo robić z nimi, co zechce. Na pewno jest przekonana, że kiedy wypisuje czek, zmienia świat. Co w tym złego? Wszyscy pragniemy zmieniać świat na lepsze.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- W zeszłym roku byli tacy, którzy domagali się delegalizacji silników spalinyowych, tacy, którzy chcieli wydać słownik języka wielorybów, tacy, którzy wysadzili w powietrze trzy kliniki leczenia bezpłodności, tacy...

- Słyszałam o nich - przerwała mu. W tym momencie pojęła, że jego frustracja wynikała z tego, że sprawy zaczęły zmierzać poza dziwaczność, ku niebezpieczeństwu.

- No właśnie. - Wstał i zaczął krążyć po pokoju. - Szczodra darowizna Idy Bentley posłużyła do kupna dynamitu. - Obrócił się twarzą do Emily. - I pozwól, że ci powiem, że prawdziwy koszmar zaczyna się, gdy do twych drzwi zastukają oficerowie FBI i zaczynają zadawać pytania o wywrotową działalność twojej babci.

- Dobrze, rozumiem twoje obawy przyznała. - Ale czy naprawdę uważasz, że przeniesienie Idy do takiej wioski dla emerytów coś zmieni? Czy oni tam kontrolują jakoś pocztę elektroniczną?

- Nie wiem. To tylko jedno z wielu pytań, które muszę zadać, zanim podejmę decyzję.

- Gdyby się okazało, że są w stanie zrobić to tam, to musi to być możliwe także tutaj. Nie ma potrzeby skazywania Idy na wygnanie.

- To nie jest wygnanie. To są wyjątkowo ładne i przyjazne miejsca.

- Nie są to normalne osiedla, Cole. Moja babcia umarła przed twoją. Przechodziłam już przez to. Takie miejsca to nic innego jak tylko bardzo kosztowne i bardzo dochodowe

magazyny dla starych ludzi na końcu taśmy produkcyjnej życia. Zaczynasz od samodzielnego apartamentu, potem przenoszą cię do mieszkania z kimś innym. Później przewożą cię do sali z pielęgniarką, a na koniec ładują cię na wózek i wywożą do kostnicy.

Nareszcie zaczął się zastanawiać nad jej słowami.

- Jaka jest alternatywa? - spytał po długiej chwili.

- Żyj jak dotąd, a kiedy przyjdzie taka potrzeba, zorganizuj opiekę pielęgniarską w domu, a kiedy to konieczne, przywieź lekarza. To wszystko.

Podszedł do łóżka. Pozbierał papiery, poskładał je starannie i schował do kieszeni. Nie odezwał się. Nawet na nią nie spojrział.

- Dlaczego nigdy nie porozmawiałeś z Jayem, listonoszem tutaj, w Augsburgu? - spytała cicho. - Może dałoby się coś zrobić w sprawie kontroli tych niechcianych przesyłek.

Pomału pokiwał głową.

- A z kim miałbym porozmawiać, Emily, w sprawie kontrolowania tych próśb i błagań, które wylewają się z każdego kanału telewizyjnego przez całą dobę? Z kim trzeba rozmawiać w sprawie domokrażców proponujących reperację dachu, strzyżenie trawnika, czyszczenie rynien czy malowanie domu?

- Może już czas, żeby Ida przekazała komuś te wszystkie kłopoty związane z zarządzaniem pieniędzmi?

- Tak myślisz?

Udała, że nie dostrzegła sarkazmu w jego głosie.

- To się da zrobić bez zmuszania jej do życia wśród bagien albo na pustyni.

- Ale ona musi się na to zgodzić. A nie sądzę, żeby chciała.

Dobry Boże! Jeśli uważał, że babcia będzie walczyć z nim w sprawie przekazania mu kontroli nad książeczką czekową, to jak zamierzał ją nakłonić do przeprowadzki?!

- To pomyśl, jak ograniczyć jej dostęp do pieniędzy - podsunęła ostrożnie.

Wstała. A on posłał jej słaby uśmiech.

- Kupno dynamitu opłaciła kartą kredytową. Całe pięć sekund musiało zająć FBI ustalenie jej nazwiska i adresu i pewnie z dziesięć minut ustalenie moich danych. Teraz wszystkie jej karty kredytowe są pod ścisłym nadzorem. Sygnał alarmowy pojawia się w

systemie, kiedy tylko do operatora wpłynie żądanie zapłaty od którejś z sieci handlowych lub organizacji charytatywnych. A gdyby wystąpiła z wnioskiem o wydanie nowej karty kredytowej, zostanę natychmiast powiadomiony.

- No tak, masz wszystko pod kontrolą. Domyślam się, że zarejestrowałeś ją także w którejś z agencji ochrony tożsamości, prawda?

- Tak.

Podeszła do niego i objęła go w pasie.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Cole'u Prestonie. - Uśmiechnęła się ciepło.

Przytulił ją i też spróbował się uśmiechnąć.

- Jestem draniem bez serca, który chce zesłać swoją babcię do wyściełanego pluszem więzienia, pamiętasz?

- Tak, ale jestem przekonana, że na koniec rozważysz wszystkie możliwości i wybierzesz to, co będzie dla niej najlepsze. Wiem, że nie zrobisz niczego, co uczyniłoby ją nieszczęśliwą. Jeśli jest cokolwiek, w czym mogłabym pomóc, powiedz tylko słowo.

- Co wolisz robić: tropić listonosza czy kraść mu torbę?

- I jedno, i drugie to przestępstwo federalne. - Uśmiechnęła się szeroko. - Jestem pewna, że potrafimy wymyślić coś, co nie zaprowadzi nas prosto do Leavenworth.

- Przynajmniej FBI będzie wiedziało, gdzie mnie szukać, kiedy premier Japonii zostanie ugodzony harpunem przez działaczy Greenpeace.

Zaśmiała się i przytuliła go mocniej.

- Życie toczy się, jak chce, Cole - powiedziała. - Nie ma sensu martwić się na zapas. Kiedy nadejdzie ten czas, gdy naprawdę trzeba będzie zaopiekować się Idą, będziesz doskonale wiedział, co postanowić. Dziś nie warto się tym zajmować.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie.

- Dziękuję, Emily - szepnął. I schylił się, by ją pocałować.

- Uuu! Emily! Jesteś tam?

Cole poderwał się jak oparzony. Wysoko uniósł brwi ze zdziwienia. Oboje równocześnie spojrzeli na drzwi, w których stała Beth. Trzymała zieloną sukienkę i mrugała gwałtownie.

- Przyjęcie skończone - obwieściła Emily. Uwolniła Cole'a z objęć i uśmiechnęła się przepaszająco. - Przedstawię was, zanim wyjdiesz.

- O, cholera, Em - sapnęła Beth z zakłopotaniem. - Bardzo przepraszam. Nie wiedziałam... Nawet nie przypuszczałam!

- Wszystko w porządku - odparła Emily.

- Tak jest - dodał Cole. - Chociaż gdybyśmy nadal wisieli na żyrandolu, sprawy miałyby się całkiem inaczej.

Beth uniosła wzrok do góry. Wisiała tam tylko pojedyncza żarówka w prostym kloszu.

- On żartuje - wyjaśniła Emily. - Beth, pozwól, że ci przedstawię Cole'a Prestona, wnuka Idy Bentley. Cole, to jest Beth Hardesty, dyplomowana księgowa i bardzo rzeczowa osoba. Wszystko bierze dosłownie.

Cole zrobił krok w przód, uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Miło mi cię poznać, Beth - powiedział.

- Mnie także - wymamrotała. - Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłam.

- Ależ skąd! - odparł. Cmoknął Emily w policzek. - Życie toczy się, jak chce. Zobaczymy się wieczorem?

Serce jej wezbrało. Kiwnęła głową.

- Będę tutaj - powiedziała.

- Dobrego dnia - rzucił przez ramię. - Nie napadnij na żadnego listonosza beze mnie!

Emily parsknęła śmiechem i odprowadziła go wzrokiem do windy.

- Listonosza?

- To długa historia - powiedziała Emily. Wzięła sukienkę z rąk przyjaciółki. - Chyba powinnam się ubrać.

Beth pokiwała głową.

- Masz rację - przyznała, idąc do kuchni. - Mieszkańcy Augsburga nie są jeszcze gotowi uznać takiego przezroczystego peniuarka za strój dzienny.

- Nie jest przezroczysty - zaprotestowała Emily. Ale na wszelki wypadek popatrzyła na rękaw pod światło, żeby się upewnić.

- Chcesz się założyć? - zawołała Beth. Z lodówki wyjęła kawałek sera. - Nie do wiary, jak dużo może kosztować tak mały strzępek materiału, prawda? Wart był tego?

- O mój Boże! - jęknęła Emily.

- Nie mów nic więcej. - Beth wyjęła nóż z szuflady. - Bo podetnę sobie żyły.

Emily poszła do sypialni. Czuła się wspaniale, była ożywiona i radosna jak nigdy w życiu. Zbierając mokre ręczniki, znalazła krawat Cole'a. Uniosła go do twarzy i wciągnęła zapach jego wody kolońskiej. O, tak. Było warto, pomyślała.

Może, niby przypadkiem, powinna zostawić na stoliku do kawy katalog bielizny przed jego przyjściem wieczorem? Niezobowiązująca rozmowa na temat ewentualnych zakupów pozwoliłaby jej wy badać, jak długo planował się z nią spotykać. Bo gdyby się miało okazać, że już wkrótce zamierza zniknąć, cóż...

Emily odetchnęła głęboko. Mieli za sobą jedną wspólną noc. Niesamowitą, owszem, ale na czymś takim żadna rozsądna kobieta nie opiera planów zakupowych. Tydzień szalonych zabaw to również za mało. Była pewna, że nawet najbardziej oszałamiający seks nie gwarantuje związku stałego i długotrwałego.

- Daj spokój z katalogiem - mruknęła pod nosem. Wyjęła z szafy ubrania. - Korzystaj z tego, co masz, i nie bądź zachłanna.

Zanim dotarł do domu babci, Cole przypomniał sobie prawie wszystko. Nawet słowa dziecięcej piosenki, którą śpiewał bohater jego ulubionego filmu rysunkowego. W dzieciństwie niejedną raz leżał na podłodze w mieszkaniu babci na czterdziestym drugim piętrze na Manhattanie i oglądał telewizję.

- To były cudowne dni - powiedział i wszedł do domu.

- Witaj, kochanie - zawołała babcia z jadalni.

- Witaj - odparł. Powiesił marynarkę na oparciu krzesła. Babcia zajęta była sortowaniem papierów na stole. Było tego sporo. - Widzę, że poczta już dotarła.

- Popatrz, ile tu wspaniałości - zawołała radośnie. Podała mu małe pudełeczko wykonane z drewna cedrowego. Na wieczku wypisana była nazwa jakiegoś plemienia rdzennych Amerykanów, o których nigdy w życiu nie słyszał. W środku zobaczył pieczołowicie opakowane ołówki, także z cedrowego drewna. Na nich wypisana była nazwa plemienia.

- To jest prezent, tak?

- W zeszłym miesiącu posłałam im trzydzieści dolarów na program rozwoju zawodowego.

Cole bardzo powoli, bardzo głęboko wciągnął powietrze do płuc.

- Mogłabyś kupić te ołówki w pierwszym z brzegu sklepie za mniej niż dolara - powiedział z przyganą w głosie.

- W sklepie nie mają ołówków z drewna cedrowego - wyjaśniła babcia, nie przerywając sortowania korespondencji. - I nie ma na nich znaczka szczepu.

- Przecież to zupełnie nie ma znaczenia, nie sądzisz?

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nieprawda, Cole. Uważam, że to ma wielkie znaczenie. Ołówki kupione w sklepie nie przyniosą zysku nikomu poza importerem i sprzedawcą. Te zaś niosą pomoc pokrzywdzonym młodym mężczyznom i kobietom.

No to się dostało producentom ołówków, pomyślał. Ale nie chciał kłótni.

- Dobrze - skapitulował. - Masz rację. A pozostałe prośby?

Pożałował tych słów, nim jeszcze skończył je wymawiać.

- Zamierzasz zrobić mi kolejny wykład na temat rozsądnej dobroczynności? - spytała babcia z przekąsem. - Już przepraszałam, nie wiem ile razy, za tamte wybuchy w klinikach. Nie miałam pojęcia, że tacy ludzie w ogóle istnieją. Byłam święcie przekonana, że funduję sprzęt i koce dla szpitali.

Uniósł ręce w geście poddania.

- Żadnych wykładów, babciu - zapewnił solennie. - Obiecuję.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się. Jej niebieskie oczy pojaśniały. - Jak wczorajsza kolacja?

Oho! Przesłuchanie.

- Dobrze - odparł sucho.

Ale wiedział, że na tym się nie skończy.

- Co jedliście?

Psiakrew! Nie mógł zebrać myśli. Oczyma wyobraźni widział Emily w kusej sukience.

- Pojechaliście na kolację, prawda?

- No, tak. Ja tylko nie... - Wymyśl coś, tylko szybko. - Cielęcinę pod beszamelem.

Była bardzo dobra.

- Emily też smakowało?

- Mówiła, że tak.

- A jak ona ma się dziś rano?

Oho, drugi stopień przesłuchania.

- Nie wiem - odparł i wzruszył ramionami. Babcia zrobiła zdziwioną minę. - Rozumiesz, babciu - ciągnął - była tam taka barmanka... Taka laska! Miała na imię Bambi i...

- Cole'u Edwardzie Prestonie!

- Emily jest w porządku - powiedział ze śmiechem. - I tylko tyle zamierzam ci powiedzieć.

- Spotkasz się z nią dziś wieczorem?

- Od rana pracują u niej dekarze. Nie wiem, czy będzie mogła wyjść wieczorem. Albo czy nie będzie zbyt zmęczona i nie będzie chciała położyć się spać. Będę improwizować.

Babcia pomału pokiwała głową. Jak zwykła czynić zawsze, kiedy usiłował ją przekonać, że to nie on zjadł sześć ostatnich truflí czekoladowych, gdy oboje wiedzieli, że tylko on był w domu.

- Skoro już o spaniu mowa - powiedziała. - Wygląda na to, że drzemka dobrze by ci zrobiła.

- Bardzo sprytnie, babciu - zawołał wesoło. - Idę zrobić sobie grzanekę. Masz ochotę?

- Dziękuję nie. Kilka godzin temu zjadłam śniadanie.

Kilka godzin temu. Wyraźnie dawała do zrozumienia, że doskonale wie, że on był zbyt zajęty, by myśleć o jedzeniu. Nie odezwał się. Uśmiechnął się tylko uprzejmie i wyszedł.

Rozsmarowywał właśnie masło orzechowe na trzeciej grzance, gdy drzwi otwały się tak gwałtownie, że uderzyły w ścianę. Sekundę później do kuchni wpadła babcia.

- Cole?

- Słucham, proszę pani? - Gorączkowo przerzucał w myślach listę ostatnich grzeszków i zastanawiał się, jak mogła się o nich dowiedzieć.

Na blat, tuż obok talerza z grzankami, rzuciła znajomo wyglądające, trochę pomięte kartki papieru.

- Nie przeniosę się do domu starców. Nigdy! Zostanę tutaj tak długo, aż pan Baker odwiezie mnie do domu pogrzebowego.

Spojrzał na kartki.

- Szperałaś w moich kieszeniach? - Tylko tyle zdołał wydusić.

- Chciałam przeprasować ci marynarkę.

Kobiety. I ta ich niechęć do pomiętych ubrań. Po raz drugi w ciągu godziny!

- Myślę - zaczął ostrożnie - że powinniśmy na ten temat porozmawiać, babciu. Niekoniecznie teraz, ale kiedyś, w przyszłości. Nie zawsze będziesz w stanie...

- Możesz ze mną rozmawiać zawsze, Cole. Ale na pewno mnie nie przekonasz. Mam już za sobą ostatnią przeprowadzkę w życiu. Nie ruszę się stąd inaczej niż na wózku, nogami do przodu, przykryta piękną welwetową kapą z napisem „Dom pogrzebowy Bakera”.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni. Cole wbił zęby w grzankę i przeżuwał powoli. Co te kobiety mają przeciwko domom starców? - pomyślał. Może to ma jakiś związek z hormonami?

Dlaczego nie podobają im się wycieczki małymi autobusami pod opieką wesołych przewodników? Co mają przeciw wspólnym jadalniom? A może to dlatego, że przeciętnie w domu starców przypada dziesięć kobiet na jednego mężczyznę i one nie chcą spędzać ostatnich lat na ciągłych sprzeczkach? Ale przecież babcia w każdych warunkach dałaby sobie radę. Już po krótkim czasie miałyby wszystkich u stóp, błagających o jej względy.

Jakakolwiek była przyczyna tej awersji...

Zebrał ze stołu kartki i wrzucił je do kosza na śmieci.

- Koniec - rzucił. Przełknął kolejny kęs. - Nigdy więcej ani słowa.

Powinien był posłuchać Emily i wyrzucić te wydruki u niej w domu. Emily naprawdę dobrze radziła sobie z życiem i z ludźmi.

Uznał sprawę za zamkniętą. Skończył jeść, posprzątał kuchnię i poszedł na górę, na zasłużoną drzemkę. Najważniejsze, pomyślał, że Emily nie będzie musiała nosić po dachu wiader ze smołą i wieczorem nie będzie śmiertelnie zmęczona. Kupię po drodze kilka kanapek, pomyślał, i może kilka puszek dobrego importowanego piwa. Spędzą miły, spokojny wieczór na kanapie. Przytuleni, będą gawędzić o... Uśmiechnął się szeroko. O rynkach i giełdach światowych, o trendach notowań albo o wahaniach kursu juana. Emily zmięknie jak wosk.

Skrzywił się. Prywatna plaża na Hawajach, palmy i fale, Emily ubrana tylko w spódniczkę z trawy. Ale co to za niespodziewany, bulgocący i nieprzyjemny dźwięk w tak cudownym śnie?

- Shole?

Znowu ten dziwny dźwięk.

- Shole? Spuść zię, phrosę.

Ktoś szarpał go za ramię. Z trudem uniósł powieki i ociężale potoczył wzrokiem dookoła. Na brzegu łóżka siedziała babcia. Trzymała go za ramię. Jej druga ręka zwisała dziwnie bezwładnie wzdłuż boku. Serce skoczyło mu do gardła. Usiadł gwałtownie.

- Co się stało, babciu?

- Dzoś... - Wykonała płytki wdech. Coś paskudnie zachlupotało w jej krtani. Cienka strużka śliny spłynęła jej z kącika warg.

- Uśmiechnij się do mnie - rozkazał. Z kieszeni wyrwał telefon. Spróbowała, lecz tylko połowa twarzy jej usłuchała.

- Dziewięć-jeden-jeden - usłyszał w słuchawce głos dyspozytorki.

Nie czekał na pytania. Natychmiast podał adres, imię i nazwisko babci oraz jej wiek, a potem z najwyższym wysiłkiem rzucił: „wylew”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Emily zatrzasnęła drzwi auta i pobiegła przez szpitalny parking. W jednej dłoni ścisnęła kluczyki, w drugiej torebkę. Szerokie drzwi rozsunęły się i załoga karetki wyprowadziła puste nosze. Emily minęła ich w pędzie i zdyszana stanęła przed ladą recepcji.

- Ida Bentley - rzuciła.

Kobieta po drugiej stronie kontuaru przyglądała jej się przez długą chwilę, potem obróciła się wraz z krzesłem i wbiła wzrok w listę nazwisk na ekranie komputera. Potem odwróciła się ponownie do Emily i złożyła ręce na blacie przed sobą.

- Wróciła już na izbę przyjęć. Jeśli...

- Gdzie to jest? - rzuciła Emily.

Omiotła spojrzeniem szereg ponumerowanych drzwi.

- Tylko najbliższa rodzina ma prawo tam wchodzić.

- Jestem rodziną - skłamała Emily bez wahania. - Jest moją babcią po mężu.

Kolejne spojrzenie na ekran.

- Jak się pani nazywa?

- Emily Preston. Jej wnuk, Cole Preston, jest moim mężem. Jesteśmy jej jedynymi żyjącymi krewnymi. Powiedziano mi, że przyjechał tu ambulansiem razem z nią.

Kobieta przechyliła głowę na bok i nacisnęła przycisk na blacie przed sobą.

- Sala numer trzy, druga po lewej - powiedziała.

- Dziękuję!

Drzwi się otwarły. Emily minęła je i popędziła korytarzem w lewo. Po chwili znalazła się w sali numer trzy. Nie było w niej łóżka. Na niebieskim plastikowym krzeselku pod ścianą siedział Cole. Łokcie oparł na kolanach, twarz ukrył w dłoniach.

Zatrzymała się, nabrała powietrza, po czym wypuściła je powoli. Potem jeszcze raz. Na koniec odezwała się cicho:

- Cole?

Poderwał głowę, jakby trafił go pocisk. Miał czerwone obwódki wokół oczu. Na rzęsach ślady łez. Przełknął ślinę, otarł oczy i popatrzył jej w twarz.

- Gdzie jest Ida?

- Robią jej tomografię - wykrztusił.

Wstał z wysiłkiem.

- Co się stało? - spytała. Rzuciła torebkę na puste krzesło i podeszła do Cole'a. - Upadła?

Wziął ją w ramiona.

- Miała wylew.

Wtuliła policzek w jego pierś. Wyraźnie słyszała ciężkie uderzenia jego serca.

- Czy wiedzą już, jakiego rodzaju był ten udar? - spytała. Musiała się dowiedzieć więcej, żeby móc mu pomóc. - Powiedzieli ci cokolwiek, jak bardzo był poważny?

- Nic nie wiem, Emily - odparł i przytulił ją jeszcze mocniej. - Kompletnie nic.

Spokojnie, pomyślała, mamy czas. Uniosła głowę i zajrzała mu w oczy.

- Co powiedzieli ci Tim i Larry?

- Kto? - zdziwił się.

- Tim i Larry, załoga karetki. Oni przyjechali do domu i zabrali Idę. Czy powiedzieli ci coś?

Wypuścił ją z objęć i zaczął chodzić wokół sali.

- Dobrze... Zaraz... - zaczął z namysłem. - Przyjechali, zbadali babcię, spytali mnie, kiedy pojawiły się pierwsze objawy, i ułożyli ją na noszach. Nie mogłem im powiedzieć nic dokładnie, Emily. Kiedy wróciłem do domu rano, babcia była w dobrej formie. A potem obudziła mnie. Mówiła niewyraźnie. Śliniła się. Miała bezwładną jedną rękę.

- Czy umiałeś im powiedzieć, ile czasu minęło od chwili, kiedy wszystko było w porządku do pojawienia się zaburzeń mowy?

- Powiedziałem, że chyba dwie godziny. Ale tak naprawdę to nie wiem. Nie patrzyłem na zegar, kiedy się kładłem.

Próbowała gorączkowo odtworzyć w pamięci ten poranek, żeby oszacować, ile czasu trwało, zanim pomoc dotarła do Idy. Nagle Cole odezwał się łamiącym się głosem:

- Boże, Emily, nie mam pojęcia, jak zdołała dotrzeć do mojego pokoju w takim stanie. Na pewno jeszcze jej to zaszkodziło... Boże, jestem najgorszym wnukiem na świecie.

- Cole. - Stała mu na drodze, żeby się musiał zatrzymać. - To nie twoja wina, że Ida miała wylew.

- Akurat. Chcesz się założyć?

Skoro nie działały na niego ani proste zapewnienia, ani logiczne wywody, postanowiła sięgnąć po coś zaskakującego.

- Nie wyrzuciłeś chyba jej pudełek z listami, prawda?

Uśmiechnął się. Naprawdę. Trwało to całą sekundę.

- Znalazła w kieszeni mojej marynarki oferty ośrodków dla emerytów i nie była zadowolona z tego powodu. Ciśnienie skoczyło jej prawdopodobnie pod sufit. - Przeciągnął palcami po włosach. - Jezu! Ostrzegaliśmy mnie, a ja nie posłuchałem.

- Jeśli nie postawiłeś wszystkiego na ostrzu noża - argumentowała - jeśli nie wyciągnąłeś walizek i nie zacząłeś pakować jej rzeczy, nie sądzę, byś mógł być powodem jej udaru.

- Nie. - Pokręcił głową. - Powiedziałem jej tylko, że rozważam możliwość jej przeprowadzki do domu seniora i że może kiedyś powinniśmy o tym porozmawiać. Jak widać i tego nie powinienem był mówić.

Usiadła na plastikowym krzeselku.

- Zawsze wszystko bierzesz tak bardzo do siebie? - Wodziła za nim wzrokiem.

- Lekarz tutaj nic mi nie powiedział - odparł. - Zrobił kilka testów, sprawdził czy i wywieźli ją kłusem.

- Dobrze, że nie galopem - spróbowała zażartować. - Wtedy byłoby niedobrze. Czy Ida była przytomna przez cały czas?

Kiwnął głową.

- Kiedy wywozili ją na tomografię, pomachała mi ręką. Coś powiedziała, ale nie zrozumiałem ani słowa.

- Czy ktoś cię poinformował, jak długo może trwać takie badanie?

- Nie. Nikt mi nic nie powiedział, Emily.

Zrobiło jej się go żal.

- No cóż, mam dla ciebie nowinę.

Zatrzymał się w pół kroku i wbił w nią wzrok.

- Nie możesz być w ciąży. Nie dowiedziałabyś się tak szybko.

Dobry Boże, skąd u niego takie skojarzenia? Najwyraźniej na co dzień nie zdarza mu się znaleźć w sytuacji, której nie kontroluje. I kiedy mu się to przytrafi, traci głowę.

- Nie, nie jestem w ciąży - odparła. - Ale gdyby ktokolwiek tutaj zapytał, jestem twoją żoną.

Nie zareagował. Nie mrugnął, nie odetchnął, nie przełknął śliny. Nic.

- Musiałam tak powiedzieć, bo inaczej nie wpuściliby mnie tutaj - wyjaśniła. - Wstęp tylko dla najbliższej rodziny. Pewnie mogłam powiedzieć, że jestem jej wnuczką, ale jakoś nie przyszło mi to do głowy.

Pokiwał głową. Bardzo nieznacznie. Bardzo, bardzo wolno.

- Dziękuję, że przyszłaś - wydukał.

- Przyjechałam, kiedy tylko się dowiedziałam, że ambulans pojechał po Idę. Zostanę, jak długo będziesz mnie potrzebował.

- A co z dekarzami?

- Nie uwierzysz. Powiedzieli, że robili takie rzeczy setki razy i w ogóle nie potrzebują mojej pomocy. Wyobrażasz sobie? Byłam zdruzgotana.

Uśmiechnął się leciutko.

- Jesteś niesamowita, Emily Raines.

- Tak, wiem. Mówiłeś mi to poprzedniej nocy. Chyba ze dwa razy.

- To był inny rodzaj niesamowitości.

Zastanowiła się, czy nie poprosić, by wyjaśnił jej różnicę, ale nie zdążyła. W drzwiach stanął wysoki, i szczupły mężczyzna w niebieskim fartuchu, z notatnikiem w ręce. Emily wstała. Starła się wyczytać z jego twarzy, jakie przyniósł nowiny. Nie dostrzegła niczego zatrważającego. Mężczyzna był spokojny, niemal obojętny. Poczula ulgę. Tak ogromną, że zmiękły jej kolana.

- Pan i pani Preston? - spytał.

- Tak? - odezwał się Cole.

- Jestem doktor Wilson, neurolog. - Wpatrywał się w notatnik. - Badałem pańską babcię. Zamierzam ją zatrzymać na dzień albo dwa na obserwację.

- Na obserwację? - spytał Cole z obawą w głosie.

Doktor Wilson zamknął notatnik, przycisnął go do piersi i skrzyżował ramiona. Zakołysał się na piętach.

- Tomografia wykazała, że pani Bentley przeszła udar niedokrwienny. Z dwóch rodzajów udarów ten powinniście wybierać, gdybyście musieli. Choć objawy są zwykle szokujące dla otoczenia, to głównie dlatego, że wszystko dzieje się nagle i niespodziewanie. Szybka terapia zwykle pozwala zapobiec trwałym, poważnym uszkodzeniom mózgu.

Popatrzył wyczekująco.

- Przepisaliśmy standardowe leki przeciwzakrzepowe i spodziewamy się znaczącej poprawy w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin - ciągnął. - Wtedy zdecydujemy o dalszym leczeniu i wypisaniu jej. Mają państwo jakieś pytania?

Emily doskonale wiedziała, że w tym czasie na żadne z pytań, które chciałyby zadać, nie było jeszcze odpowiedzi. Dwadzieścia cztery godziny... Pozostało im tylko czekać.

- W której sali leży? - spytał Cole.

- Zobaczyc ją będą państwo mogli mniej więcej za godzinę. Dajemy czas pielęgniarkom na zajęcie się nowym pacjentem, zanim rodzina rozbije obóz.

Popatrzył na Emily i na Cole'a.

- Proszę pójść zjeść lunch. Po tym czasie pani Bentley będzie w swoim pokoju, gotowa na przyjęcie gości. Ale nie na długo. Byłoby dobrze nie męczyć jej zbyt. Ma za sobą ciężki dzień i powinna wypocząć.

Postukał kilka razy notatnikiem w nogę.

- No to do zobaczenia jutro - powiedział i wyszedł.

- Dziękujemy - rzuciła za nim Emily. Podeszła do Cole'a i objęła go. - Nie wiem jak ty, ale ja po dobrej nowinie robię się głodna.

- Jesteś pewna, że to dobra nowina?

- Jestem pewna, że mogła być dużo, dużo gorsza, Cole. Leki i obserwacja... To najlepsza kuracja, jaką można zastosować w przypadku udaru.

- Dobrze. - Niemal namacalnie czuła, jak napięcie go opuszczało. Puścił do niej oko i uśmiechnął się. - Byłaś na prywatnej plaży, ubrana tylko w spódniczkę z trawy, kiedy babcia mnie obudziła.

Kolejna fantazja. Ale tymczasem...

- Chyba w okolicy trudno będzie znaleźć wieprzowinę z taro. Ale dwie przecznice stąd jest rewelacyjny bar z daniami z rusztu. Co ty na to?

- Oj, tak! - Wziął ją za rękę. - Muszę wyjść stąd i się pozbierać, zanim zobaczę się z babcią.

Zabrała torebkę z krzesła. Cole Preston, człowiek o stalowych nerwach i precyzyjnym umyśle, powracał. Szła obok niego w milczeniu, dawała mu sposobność poskładania myśli. Dopiero w barze „Smocza Jama”, kiedy zasiedli już przy stoliku z tackami z jedzeniem przed sobą, odezwał się po raz pierwszy:

- Myślisz, że będzie z nią dobrze, Emily? - spytał już mocniejszym głosem. - Sądzisz, że lekarstwa usuną wszystkie uszkodzenia?

Wzruszyła ramionami.

- Tego nie wie nikt - odparła. - Czasem zdarzają się cuda i po wylewie nie ma nawet śladu. Czasem są uszkodzenia, ale pozostałe części mózgu kompensują je i człowiek może normalnie funkcjonować. A czasami...

- Co czasami?

- Wszystko zależy od tego, która część mózgu została uszkodzona i jak poważnie. Moja babcia miała wylew. Fizycznie nie został nawet ślad. Ale straciła zdolność oceny zachowań.

- To dlatego wychodziła z domu nago? Ugryzła kanapkę i kiwnęła głową.

- A więc wiesz - posmutniała. Papierową serwetką wytarła usta. - Żyła jeszcze długo po wylewie. I było to chyba życie szczęśliwe.

- Szczęśliwsze niż wielu ludzi wokół niej?

Doskonale wiedziała, do czego zmierzał, o co naprawdę pytał.

- Bywały takie dni, kiedy tylko ona miała się dobrze. Ale znacznie częściej był to czas dobry dla wszystkich.

Jedli w ciszy. Po długiej chwili, kiedy jej kanapka była już tylko wspomnieniem, Cole przerwał milczenie.

- Powiedz mi, jeśli możesz, jak umarła twoja babcia.

Najwyraźniej wciąż obracał w głowie najgorsze możliwości.

- Weszła prosto pod autobus. - Twarz mu stężała z przerażenia. - A dokładniej zahaczyła o lewy przedni zderzak swoim balkonikiem do chodzenia.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

- I co dalej? - spytał.

- Upadła na krawężnik, złamała miednicę i znalazła się w sanatorium. Przez moment było dobrze. Ale potem jej umysł spowiała mgła. A organizm pomału się zatrzymywał. Mówią na to psychoza kliniczna.

- To wiele wyjaśnia, wiesz?

Wiedziała. Być może teraz, kiedy i on wiedział, będzie mu łatwiej podjąć decyzję w sprawie babci.

- Zwykle to jest właśnie przyczyna, dlatego ludzie myślą o czymś tak albo inaczej. Dlatego coś robią. Ludzie są dużo bardziej rozsądni i logiczni, niż może się wydawać.

Opadł na oparcie krzesła. Zamyślił się. Emily przyglądała mu się w milczeniu. Dostrzegła łzy w kąciakach jego oczu.

Odchrząknął.

- To ona nauczyła mnie wszystkiego - powiedział. - To babcia pokazała mi, jak się troszczyć o innych, jak być przyzwoitym, wiarygodnym człowiekiem. Wszystko to zawdzięczam jej.

Kiedy sięgał po szklanę, mrugał gwałtownie. Wypił szybko i mówił dalej:

- Kiedy byłem chłopcem, wszystkie letnie wakacje spędzałem z babcią. Nigdy nie usłyszałem od niej ani jednego słowa na temat moich rodziców. Ani jednego. Kiedy teraz patrzę wstecz, widzę, że byli zbyt zajęci własnym życiem, własnymi ambicjami, żeby być dobrymi rodzicami. Babcia odwaliała za nich całą robotę. - W każde Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i na Wielkanoc urządzaliśmy obiad w schronisku dla bezdomnych. Dla tych cuchnących, brudnych, wkurzających... często szalonych... Ileż to ra-

zy widziałem babcię obejmującą któregoś z nich, oglądającą stare, poszarpane fotografie, które powyciągali ze swoich worków. Fotografie ich matek, dzieci, kumpli z wojny, ukochanych psów z dzieciństwa. - Zaśmiała się cicho. - Fotografie ludzi z gazet, których nigdy nie spotkali, ale przysięgali, że dobrze ich znali. Zawsze słuchała z uwagą. - Wyprostował się, oparł łokcie na blacie. - Zawsze miała przy sobie plik jednodolarówek. Dla gościa, który grał na saksofonie w metrze albo dzwonił dzwonkiem na rogu ulicy, czy dla siedzącego na trotuarze ze słoikiem, do którego zbierał na przeszczep dla dziecka. Myślę, że za to, co rozdawała przez rok, można by zbudować kilka schronisk. W jakiś sposób ołówki z rezerwatu dla Indian niewiele się różnią od tamtych datków.

- Ołówki?

- Pudełko ołówków z cedrowego drewna dostała dzisiaj pocztą. Wysłała pieniądze na jakiś program edukacyjny dla członków plemienia. W podziękowaniu przysłali jej ołówki.

- Podziękowanie jest bardzo ważne.

- Proszę i dziękuję też. I wybaczyć, i przeprosić. Babcia zawsze zwracała uwagę na dobre wychowanie. - Zaśmiała się. - Najgorsze wakacje w moim życiu spędziłem w Szkole Dobrych Manier Panny Tanner. Dzień w dzień który widelec do czego, jak jeść i pić, jak prawidłowo kroić potrawy. Piłować mogą tylko drwale, wiesz?

- Wiem - odparła ze śmiechem.

- Dobre maniery, powtarzała nam co rano panna Tanner, pozwalają rozwikłać każdą niezręczną sprawę, otwierają drzwi możliwości, których inaczej otworzyć się nie da, oraz, jeśli praktykowane są regularnie, potrafią uczynić świat bardziej cywilizowanym i pokojowym. - Westchnął. - Babcia oprawiła w ramki mój dyplom ukończenia Szkoły Dobrych Manier. Kiedy przyjdiesz do niej następnym razem, pokażę ci. Wisi na ścianie w moim pokoju. Zaraz przy drzwiach, żebym widział go zawsze, żeby wciąż przypominał mi tamte lekcje.

- Nie tylko tamte. Także te, których udzieliła ci Ida.

Spoważniał nieco.

- Wiesz, co jest naprawdę interesujące? Przynajmniej dla mnie. Właściwie nie mam żadnych wyraźnych wspomnień z dzieciństwa oprócz chwil, które spędziłem z babcią.

Reszta... Owszem, są jakieś pojedyncze obrazy. Pamiętam jakieś miejsca, ludzi, przedmioty. Ale kiedy patrzę wstecz, okazuje się, że nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

Potrafiła go zrozumieć. Ida wychowywała go, oddała mu całe serce. I to całkiem rozumiało, że zajmowała szczególne miejsce w jego sercu, świecie i życiu. Tak samo rozumiało było to, że jej wylew zatrzęsł całym jego światem.

Aż do tego dnia nigdy nie przyszło mu do głowy, że Ida mogłaby się postarzyć i potrzebować opieki. Dlatego zamiast pomyśleć o tym, że kiedyś mogłaby przestać dawać sobie radę, skupił się na strzeżeniu jej przed oszustami i naciągaczami.

Pewnego dnia Cole Preston stanie twarzą w twarz ze światem bez babci i... Dobrze wiedział, jaką pustkę zastanie. I był przerażony. Ten strach leżał u podstaw wszystkich jego poczynań. Temu poświęcał wszystkie starania zawodowe. Każdy zarobiony dolar był przeznaczony dla Idy. Na opiekę, kupno lekarstw i cudu, jeśli potrafi go znaleźć.

Ida miała wielkie szczęście, że była kochana z taką mocą. Cicha zazdrość ukłuła Emily w samo serce. Poczowała łzy cisnące jej się do oczu. Uniosła szklanę, by ukryć twarz. Nie chciała okazać targających nią emocji. Napiała się i zadała pierwsze pytanie, jakie jej przyszło do głowy:

- A co z dziadkiem?

Cole przewrócił oczami i opadł na oparcie krzesła.

- Uciekł z inną. Zginął w tragicznym wypadku z udziałem mieszkania na trzecim piętrze, fortepianu i przetartej liny. W Chicago. Pół roku przed narodzinami mojej mamy.

- Jakie to klasyczne.

- Właśnie. Ja też nigdy w to nie wierzyłem.

- Cóż - Emily spróbowała bronić jakoś Idy - w tamtych czasach trzeba było mieć gdzieś jakiegoś męża. Inaczej było się napiętnowaną. Z tego co wiem z jej opowiadań, było to jedyne ustępstwo, jakie poczyniła w życiu na rzecz konwenansów.

Skinął głową i popatrzył na zegarek.

- Powinni już skończyć przy niej - powiedział. - Idziemy?

Nie zostawił jej wyboru.

- Jak sobie życzysz.

Babcia spała. Emily wygładziła koc i poprawiła wenflon, żeby rurka kroplówki układała się pod dobrym kątem. Potrafiła dostrzec takie subtelności, była taka czuła i łagodna...

- Wyglądasz na zmęczoną - szepnął, kiedy stanęła obok niego u stóp łóżka.

- Trochę - przyznała.

- Chyba więcej niż trochę. Siądź sobie w fotelu i zdrzemnij się.

W kącie pod ścianą stała niewielka kanapa.

- Tam jest miejsce dla dwóch osób - powiedziała. - Mówiąc szczerze, ty też nie wyglądasz na wypoczętego. Możemy się zdrzemnąć razem.

To było dla niego prawdziwe wyzwanie.

- To może być interesujące - powiedział.

Wziął ją za rękę.

- To prawda - zgodziła się.

Cole ciężko opadł na materac i wyciągnął przed siebie zmęczone nogi.

- Mam nadzieję, że nie dołożymy twojej babci ataku serca, kiedy się obudzi - dodała.

Wyciągnął ku niej ramiona. A ona nie wahała się ani chwili. Usiadła obok niego. Objął ją, przytulił. Jak na poduszce ułożyła głowę na jego ramieniu i westchnęła cichutko.

- Słodka Emily - szepnął i pocałował jej złote włosy. - Jesteś...

- Niesamowita. Już mówiłeś. Będę musiała kupić sobie pelerynę. Z cekinami.

Zachichotał. Świat wydał mu się nagle znacznie jaśniejszy niż kilka godzin wcześniej.

- Jesteś bardzo niezwykłą osobą, Emily Raines. I ja... - Przełknął ślinę. - Jestem szczęśliwy, że zjawiałaś się w życiu mojej babci. W moim życiu.

Odpowiedziała coś. Lecz była tak senna, że nie zrozumiał ani słowa. Usłyszał tylko słodkie mruczenie.

Przytulił policzek do jej głowy i wbił w okno niewidzące spojrzenie. To był okropny dzień, pomyślał. Właściwie tydzień. Cały świat przewrócił mu się do góry nogami.

Kiedy babcia wyjdzie już ze szpitala, kiedy znajdzie się pod troskliwą opieką wykwalifikowanego personelu, on będzie musiał przywrócić ład w swoim życiu. A wtedy... A wtedy będzie mógł się zastanowić, czy było to tylko chwilowe zauroczenie, czy może naprawdę pokochał Emily Raines.

A jeśli tak? Zacisnął powieki. Bał się nawet pomyśleć, że mógłby resztę życia przeżyć...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cole przytrzymał szeroko otwarte drzwi frontowe. Z napięciem na twarzy patrzył, jak Ida z wysiłkiem przekraczała próg. Emily doskonale rozumiała jego zdenerwowanie. Sama w równie wielkim napięciu szła tuż za starszą panią, gotowa w każdej chwili podtrzymać ją, gdyby to było potrzebne.

Na szczęście wszystko poszło gładko.

W holu Ida zatrzymała się i obróciła twarzą do Emily i Cole'a.

- A teraz słuchajcie - powiedziała. - Pora, byśmy to i owo ustalili.

- Może usiadłabyś najpierw - przerwał jej wnuk.

- Cole, kochanie - powiedziała cierpko - jeśli będę chciała usiąść, usiądę. Teraz nie chcę.

- Dobrze - odważył się mruknąć Cole.

Emily nie odzywała się. Starła się wtopić w tapetę, zniknąć. Jeszcze nigdy nie widziała Idy tak władczej i wyniosłej. Robiła piorunujące wrażenie.

- Tak, miałam wylew. - Patrzyła to na jedno, to na drugie. - Ale jak doskonale słyszeliście, doktor, kiedy godzinę temu wypisywał mnie ze szpitala, powiedział, że jestem nie do zdarcia. Nie jestem kaleką i nie pozwolę, by tak mnie traktowano. Jasne?

- Tak, proszę pani - powiedział Cole uniżenie.

- Emily? Czy ty też zrozumiałaś?

- Tak, proszę pani - pisnęła cieniutkim głosem.

- Dobrze. - Ida odwróciła się i ostrożnie poszła do salonu. - Teraz usiądę i będziemy mogli dokończyć rozmowę.

- Ale pamiętasz, że rozmowa polega na tym, że mówi więcej niż jedna osoba? - wtrącił Cole.

Ida usiadła w fotelu na biegunach.

- Będziecie mogli mówić do woli, kiedy ja skończę i pójde do gabinetu pisać listy z podziękowaniami. - Głową wskazała kanapę. - Siadajcie.

Usiedli w dwóch przeciwnych końcach jak najdalej od siebie.

- Czytaliście zalecenia lekarza, prawda?

Pokiwali głowami.

- Wiecie zatem, jaką kurację mi przepisano? I macie świadomość, że cudu nie będzie, tylko dokładne stosowanie się do zaleceń?

Ponownie pokiwali głowami.

- Dobrze. Emily, czy zainstalowano już poręcz w twoim ośrodku?

- Wczoraj przyjechały lustra. Drażek powinien być gotowy dzisiaj około trzeciej.

Tak przynajmniej obiecywał monter.

- W takim razie przyjadę o czwartej na moje ćwiczenia rehabilitacyjne.

Cole pokręcił głową.

- No nie wiem, babciu. To...

- Cole.

- Och, Boże - wymamrotał i zwiesił głowę.

- Rozumiem, że ty i Emily macie szczerą, dobrą intencję. Ale ja nie potrzebuję opieki i nie pozwolę, by ktokolwiek coś mi narzucał. Niezależność to bardzo delikatna sprawa i może nie przeżyć rozpieszczania. Ja ze swojej niezależności nie zrezygnuję do ostatniego mego tchnienia.

Popatrzyła na nich znacząco.

- Tak, proszę pani - powiedzieli jednym głosem.

- Emily, jeśli mnie pamięć nie myli, pozostał ci tylko tydzień do uroczystego otwarcia ośrodka. Czy tak?

- Osiem dni.

- Nie masz tam nic do zrobienia?

Cholera. Królowa ją odprawiła.

- Tak. Mam - odparła.

- Uważam, że powinnaś raczej poświęcić całą energię na realizację swojego projektu, a nie na kręcenie się przy mnie i czekanie, żeby mnie złapać, kiedy się będę przewracać.

Skąd ona to wie? - pomyślała Emily.

- Cole - starsza pani zwróciła się do wnuka. - Jak sądzę, masz interesy, którymi powinieneś się zająć. Kto ich dopilnuje, gdy ty będziesz siedział tutaj?

- Nie dzieje się teraz nic, co wymagałoby mojej osobistej interwencji - odparł po krótkim wahaniu.

- O? - Emily pomyślała, że takim tonem musi się zwracać pajak do muchy. - A kto telefonował do ciebie dzisiaj rano, kiedy lekarz kończył mnie badać?

Cole uciekł z oczami. Ida na pewno i tak znała odpowiedź. Królowa zamierzała właśnie odprawić także wnuka.

- Jason - rzucił krótko.

- I cóż takiego miał do powiedzenia twój asystent, że musiałeś wyjść z pokoju, żeby nikt nie mógł usłyszeć twojej odpowiedzi?

Westchnął i popatrzył na nią z wyrzutem.

- Czas już najwyższy, żebyś wrócił do swojego życia.

- A co, jeśli nie chcę? - spróbował się postawić.

Ida powoli uniosła brwi.

- Jeśli uważasz, że uciekanie się do godnej siedmiolatka riposty jest stosowne, to znaczy, że czas już najwyższy, żebyś znowu zabrał się do pracy.

Popatrzyła na nich uważnie.

- Bardzo wam dziękuję za wspaniałe starania w ciągu ostatniej doby. Szczerze je doceniam i jestem bardzo poruszona waszą troską o mnie. Ale jak już powiedziałam, nalegam, byście wrócili do swojego zwyczajnego życia. Nie zamierzam więcej dyskutować na ten temat.

Wstała.

- A teraz zechciejcie wybaczyć - skierowała się do drzwi - mam do napisania sporo podziękowań.

- No! - sapnęła Emily, kiedy Ida wyszła. - Jeszcze jej takiej nie widziałam. Czy myślisz, że wylew mógł zmienić jej osobowość?

- Nie. - Opadł na oparcie i splótł ręce na karku. - I tak potraktowała nas łagodnie. Powinnaś była ją zobaczyć, kiedy policja przyprowadziła mnie do domu po tym, jak kąpałem się nago w Central Parku. Wtedy naprawdę myślałem, żeby poprosić o kuratora.

Emily uśmiechnęła się. Ale kiedy spojrzała na Cole'a, spoważniała. Siedział ze wzrokiem skierowanym w sufit, ale na pewno patrzył znacznie dalej. Znała takie spojrzenie. Wiedziała, co oznaczało. Nie musiała udawać. Nie mogła też uciekać przed nieuniknionym.

- Co powiedział ci Jason, kiedy zadzwonił? - spytała.

Miała nadzieję, że nie wyczuł, jak bardzo była spięta.

- W tym tygodniu odbędą się przesłuchania przed podkomisją Kongresu w sprawie biopaliw. W czwartek będą przedstawiać swoje stanowisko przedstawiciele producentów trzciny cukrowej.

Resztę sama sobie dośpiewała.

- I chcieliby móc powiedzieć kongresmanom, że mają gwarancje finansowe liczącego się na rynku gracza.

- Tak - odparł. - Jeśli uzyskają poparcie, mają szanse na rządowe subsydia i dalszy rozwój.

- Jesteś ich jedyną i ostatnią nadzieją.

Pokiwał głową. Wzrok wciąż miał nieobecny.

- Jeżeli mają być gotowi na czwartek, musimy podpisać umowę najdalej jutro rano.

- Mnie się wydaje - powiedziała cicho - że zaraz powinieneś wyruszyć do Luizjany.

- Na pewno liczą też na to, że razem z nimi stanę przed podkomisją. Żeby ich wesprzeć w kwestiach ekonomicznych i finansowych. Potem jeszcze trzeba by wziąć udział w kilku spotkaniach koktajlowych w czasie weekendu.

Na pewno to atrakcyjniejsze niż piwo na przedmieściach Augsburgu w sobotnią noc. Nie mogła winić go za to, że pociągała go ta wizja.

- Myślisz, że telewizja będzie pokazywać przesłuchania? - spytała. - Chciałabym zobaczyć cię w akcji.

Po raz pierwszy, odkąd Ida ich opuściła, popatrzył na nią.

- Zakładasz, że pojedę tam.

- To nie jest założenie, to pewność. Już kiedy wróciłeś po rozmowie z Jasonem, wiedziałam, że coś się dzieje.

- Tak? Niby skąd?

- Byłeś zamyślony, skupiony. Wiedziałam. Ida też. Ona nazywa to twoim spojrzeniem łowcy.

Zamyślił się. A na jego twarzy odbijały się tysiące emocji. Widziała tam i tęsknotę, i głód, zwątpienie i żal. Po chwili uspokoił się. Sięgnął po telefon. A jej żołądek ścisnął się, zrobił się jak twarda, kamienna kula.

- Hej, Jase - powiedział do telefonu. - Samolot gotowy do lotu? Jakie wieści od załogi?

Emily zastanawiała się, jak wybrnąć z tej sytuacji z godnością.

- Nie da się polecieć dookoła? - ciągnął. - Albo przeczekać?

Wstała. Może by tak po prostu wyjść, gdy on rozmawia? - pomyślała.

- Dobrze, już jadę. Spotkamy się na lotnisku. Rozłączył się i wstał.

- Nadciągają burze znad zatoki. Mają trwać trzy dni. Mamy tylko kilka godzin, żeby dolecieć, zanim się zaczną.

Pokiwała głową i zmusiła się do uśmiechu.

- Życzę ci bezpiecznej podróży i spokojnych negocjacji. Ruszaj.

- Posłuchaj, Emily - powiedział cicho - spędziliśmy razem naprawdę wspaniałe chwile, ale... - Jego telefon zadzwonił. - Co tam, Jase? - Zacisnął zęby. - Tak, załatwiał! - Rozłączył się. - Zaczekaj sekundkę - rzucił do niej. - Muszę tylko...

Telefon znów zadzwonił.

- Witam, panie Brisbane. Tak, będę. - Słuchał przez chwilę w skupieniu. Podszedł do stołu. - Mój asystent przysłał mi to faksem dzisiaj rano. Jeszcze nie miałem czasu przeczytać. Tak, mam to przed sobą. Chciałabym, żeby Fontaine, Richards i Belleau byli na pewno. Tinley niech przygotuje krótką notatkę.

Mówił, dyrygował, organizował graczy. Posłała mu całusa, czego nawet nie zauważył i wyszła. Obejrzała się jeszcze z samochodu. Jakby liczyła, że dźwięk motoru każe mu wybiec, pomachać jej na pożegnanie. Nie wybiegł.

- Oto człowiek pieniędzy - powiedziała do siebie. - A tacy jak on żyją po to, żeby robić wielkie interesy. To jest jak uzależnienie.

Przez całą drogę wmawiała sobie, że wszystko jest w porządku. Ale kiedy się znalazła w swoim mieszkaniu, kiedy usłyszała trzask zamykających się za nią drzwi, poczuła w duszy pustkę tak ogromną, jakiej nigdy w życiu nie zaznała.

Na marne poszły wszystkie racjonalne przemowy, których sobie nie szczędziła. Wszystkie tłumaczenia, że ich znajomość była tylko chwilową przygodą, nie zdały się na nic. Gdzieś na dnie jej serca, potajemnie, bez jej wiedzy zaległa się nadzieja. Na miłość.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Padła na łóżko, zwinęła się w kłębek, wtuliła twarz w poduszkę i zapłakała jak jeszcze nigdy w życiu.

- Jeszcze jedną brandy, panie Preston?

Odwrócił się od okna i spojrzał na Collete.

- A ile już wypilem?

- Dwie.

- Chyba lepiej na tym poprzestanę. Bardzo nieładnie zmuszać załogę do wynoszenia cię z samolotu po wylądowaniu.

- To prawda. Może zje pan coś?

Na samą myśl o jedzeniu jego żołądek ścisnął się boleśnie. Pokręcił głową i odwrócił się do okna.

Ze stolika podniósł telefon i zapatrzył się w klawiaturę. Uświadomił sobie, że nie zna numeru telefonu Emily. Nigdy do niej nie dzwonił. Ani razu. Zawsze była na miejscu, kiedy jej potrzebował. Zjawiała się bez proszenia, kiedy wiedziała, że może być mu potrzebna. Stała się nieodzowną częścią jego codzienności. A on nigdy nie poprosił o numer jej telefonu. Bo nigdy przez myśl mu nie przeszło, że może zdarzyć się tak, że nie będzie jej trzymał w ramionach.

Zamknął oczy i w myślach przemierzał jej mieszkanie. Nie. Nigdzie nie było gniazdka telefonicznego. Ani kabla.

Zadzwoił do babci.

- Cześć, babciu. Jak się masz?

- Dziękuję, świetnie, Cole.

Nabrał głęboko powietrza.

- Byłaś dzisiaj u Emily, żeby ćwiczyć?

- Tak. Było cudownie. Emily urządziła wszystko z takim rozmachem, z taką...

Mówiąc prosto, z klasą.

Tak, na pewno miała tej klasy znacznie więcej niż on.

- A jak ćwiczenia? - spytał. - Mam nadzieję, że się nie sforsowałaś?

- Ani trochę. Wiem, że nie dam już rady tańczyć.

Wykonał kolejny głęboki wdech.

- Emily ci pomagała?

- Pozwoliłam jej kręcić się w pobliżu, żeby rozwiać jej obawy. Ale ja nie potrzebowałam żadnej pomocy.

- Oczywiście. - Skrzywił się. Musiał jednak brnąć dalej. - Nie masz przypadkiem numeru jej telefonu?

- Nie. Nigdy nie był mi potrzebny. Jeśli potrzebuję porozmawiać z Emily, po prostu do niej idę.

- Ja, niestety, nie mogę tego zrobić, bo jestem jedenaście kilometrów nad Luizjaną. Wiele wysiłku włożył w to, żeby ukryć zdenerwowanie. Ale chyba mu się to nie udało.

- No cóż, mój drogi, znów mówiąc prosto, okazałeś się dupkiem.

- Babciu!

- Pozwolę sobie zauważyć, że gdyby rozmowa z Emily była dla ciebie naprawdę ważna, postarałbyś się zdobyć jej numer przed wyjazdem.

Choć wściekły, brnął w desperacji dalej.

- Czy mogłabyś pójść do niej, dowiedzieć się i zadzwonić do mnie?

- Nie. Zrobiłam już swoje, stykając was ze sobą. Sam odpowiadasz za resztę. Za to, jak wykorzystasz sposobności i możliwości. Muszę już kończyć, Cole. Zaraz zaczyna się „Taniec z gwiazdami”. Nie mogę tego przegapić.

Przepadło. Prysły nadzieje.

- Dobranoc, babciu - powiedział ponuro.

- Powodzenia.

Koniec połączenia. W głowie miał mętlik. Ale jedna myśl stawała się z każdą chwilą wyraźniejsza: Babcia zastawiła na niego pułapkę. Z wyrachowaniem. Prośba o spieniężenie pakietu jej akcji i przekazanie gotówki Emily to był podstęp. Przynęta. Żeby go zwabić do Augsburga i zatrzymać na tyle długo, żeby... został uwiedziony. Uwiedziony przez Emily Raines!

Nie. To nie było uczciwe. Emily także była ofiarą tej intrygi. Był tego całkowicie pewien.

A skoro już tak szczerze rozmawiał sam ze sobą, musiał przyznać, że właściwie żadne z nich nie mogło się czuć uwiedzionym. Od pierwszej chwili było to coś dwustronnego. Każda wspólna sekunda dawała obojgu radość. Materializowała najskrytsze fantazje. Nigdy w życiu nie był tak cudownie obojętny na resztę świata. Nigdy nie czuł się tak mocno... kochany.

Zacisnął powieki. Babcia wciągnęła go w zasadzkę. Wpadł w sidła kochającego serca Emily Raines.

I cóż uczynił z tym zdumiewającym, cudownym, niezasłużonym darem? Odwrócił się i uciekł do starego życia. Postawił interesy ponad Emily. Zawinał ogon pod siebie i zwiął.

Nie było słów, by opisać jego głupotę. Jego tchórzostwo. Jego podłość.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Emily cofnęła się o krok, by się przyjrzeć swemu dziełu. Choć może słowo „dzieło” było tu trochę na wyrost. Litera „W” w słowie „Wielkie” była o dobrych dziesięć centymetrów niższa niż litera „O” w słowie „Otwarcie”. A wszystkie litery chyliły się w prawą stronę jak za powiewem wiatru. Kolejna pozycja do mojej listy spraw spartaczonych, zapomnianych lub niedopilnowanych, pomyślała. To były dwa okropne dni. Cisnęła pędzel do puszki z wodą i usiadła na drewnianej szpuli po kablu elektrycznym. Monte-rzy byli uprzejmi zapomnieć ją zabrać.

Może za czwartym razem pójdzie mi lepiej, pomyślała. Ale postanowiła rzecz całą odłożyć do następnego dnia.

- Gdzie mamy rozładować te maszyny, proszę pani?

Obejrzała się przez ramię. W drzwiach stał mężczyzna w szarym kombinezonie firmy przewozowej. Na przyczepionym na piersi identyfikatorze miał napisane imię George. W dłoni trzymał deseczkę z klipsem do przyczepiania kartek.

- Jakie maszyny? - Wstała.

- Zaraz, niech sprawdzę. - Przerzucił kilka stron. - Mam tu wypisane tokarki, strugarki, wiertarki, piły tarczowe i całe mnóstwo drobnych narzędzi ręcznych.

Odpiał z pliku wybrane kartki.

- Tu jest kwit przewozowy. - Wyciągnął do niej rękę. - Musi pani podpisać na dole, tam, gdzie ten czerwony krzyżyk.

Odruchowo wzięła podany długopis.

- Bardzo mi przykro - powiedziała - ale musiała zajść jakaś pomyłka. Nie zama-wiałam tych urządzeń. Nie mam pieniędzy, żeby za nie zapłacić. Chciałabym, ale nie mam.

- Opłacona faktura jest pod spodem - powiedział George. - Powinienem był ułożyć ją na wierzchu. Przepraszam.

Wyjęła ją i obejrzała uważnie. Było tam jej nazwisko i jej adres. Wszystko się zgadzało, ale... Przebiegła wzrokiem kolumnę liczb, które w podsumowaniu dawały niewy-obrażalną kwotę.

- Kto to wszystko kupił? - spytała.

Zajrzała na drugą stronę dokumentu. Tam także nie znalazła odpowiedzi.

- Nie wiem, proszę pani. Dali mi dokumenty, podali adres, wręczyli mapę i kazali jechać. Nie muszę wiedzieć nic więcej. To moja praca.

Stała, otumaniona. Kompletnie nie mogła pozbierać myśli.

- Nic o tym nie wiem - powiedziała. - To na pewno jest pomyłka - upierała się Emily. - Może pan poczekać z wyładunkiem kilka minut? Zadzwoń do sklepu.

- Oczywiście.

Poszła do biura, dziękując w myślach Beth, że przypomniała jej o podłączeniu telefonu do ładowarki. Jeszcze raz spojrzała na końcową kwotę i kolana się pod nią ugięły.

W biurze siedziała Ida. Zakładała właśnie baletki.

- Jakiś problem, kochanie?

- Przed domem stoi olbrzymia ciężarówka wyładowana nowiuteńkimi maszynami i narzędziami. Kierowca twierdzi, że ktoś to wszystko dla mnie kupił.

Wystukała numer telefonu do sprzedawcy.

- Może tajemniczy Święty Mikołaj uznał, że zasłużyłaś na więcej.

- Mój święty rozdaje gotówkę.

Po pierwszym dzwonku odezwała się automatyczna centrala hurtowni. Kobięcy głos zaczął udzielać instrukcji, jak ma się połączyć z biurem obsługi klienta, gdy do gabinetu wpadła jak bomba Beth.

- Emily! Za domem stoi ciężarówka wyładowana sprzętem kuchennym. Pytają, którymi drzwiami mają wносить towar. Wszystko supernowoczesne, ze stali nierdzewnej. Skąd wytrzasnęłaś pieniądze na to? O, Jezu!

- Nie kupiłam niczego do kuchni - powiedziała Emily z nutą rozpaczony w głosie. Wyłączyła telefon i ruszyła do drzwi. - Nie kupowałam też maszyn i narzędzi do stolarni.

- Maszyn? - zdziwiła się Beth.

Ciężarówka stała za węglem. Ten mężczyzna miał na sobie niebieski kombinezon. Na imię miał Edmund. A na plecach nazwę jednej z najdroższych w Kansas City firm z wyposażeniem do kuchni.

Stała tuż przed nim i nawet nie zrobiła wysiłku, by mu zadać jakieś pytanie. Zaczęła od razu:

- Proszę pana, obawiam się, że ktoś pozwala sobie na niestosowne żarty. Nie zamawiałam wyposażenia do kuchni. Bardzo mi przykro, że musiał pan jechać taki kawał drogi, ale będzie pan musiał zabrać to wszystko z powrotem.

Mężczyzna stał bez ruchu. Czekał na koniec tyrady. A może tylko bał się, że może go spotkać coś znacznie gorszego.

- Ja zapłaciłem za to wszystko, Emily.

Spokojny głęboki głos dobiegł z za jej pleców.

Cole. Serce jej zabiło mocniej, a kolana zaczęły drżeć. Obróciła się powoli. Miała nadzieję, że nie zauważy jej zmieszania.

Stał przy drzwiach frontowych. Ręce trzymał w kieszeniach. Spojrzał jej głęboko w oczy z wielką nadzieją. A jej serce... Podły zdrajca... Podskoczyło z radości.

- Kupiłeś to wszystko - powiedziała.

Nie było to pytanie. Stwierdziła fakt. Nie mogła dać mu z siebie więcej, niż już dostał.

- Pokaż im, gdzie mają to wszystko zainstalować - poprosił. - Potem poinstruuuj tamtego drugiego. A później porozmawiamy.

Boże, nie chciała rozmawiać. Nie chciała myśleć. Pragnęła tylko chwycić go w ramiona, przytulić ze wszystkich sił i słuchać jego miłosnych wyznań. Ale powstrzymali ją otaczający ich ludzie.

- W moim mieszkaniu - powiedziała cicho, mijając go. - Za dwadzieścia minut.

Cole patrzył za oddalającą się Emily. Miała skrzyżowane ramiona i zaciśnięte pięści. Z najwyższym trudem pohamował się, by nie pobiec za nią, nie objąć jej i nie błagać o przebaczenie. O to, by znów wpuściła go do swego serca. Wiedział, jak bardzo ją zranił. Jak był głupi i samolubny. Pragnął naprawić wszystko, natychmiast.

Ale to do Emily należała decyzja. A on nie miał innego wyjścia, jak tylko godzić się na jej warunki. Wykonał długi głęboki wdech, wystawił twarz do słońca i starał się zachować spokój. Układał sobie w myślach słowa, które zamierzał powiedzieć za dwadzieścia minut. Słowa, od których zależało całe jego życie.

Zajęło jej to trzydzieści minut. Pięć minut potrzebowała, żeby wskazać George'owi stolarnię. W dziesięć minut poinstruowała Edmunda i Beth, co należy zrobić w kuchni. Piętnastu minut trzeba jej było, żeby jej serce przestało łomotać jak oszalałe i żeby przestały jej drżeć ręce.

Kiedy weszła do salonu, Cole poderwał się z kanapy. Zaczął coś mówić, ale mu przerwała.

- Wydawało mi się, że miałeś być dzisiaj w Waszyngtonie - powiedziała.

Poszła do kuchni i wyjęła z lodówki puszkę wody sodowej. Byle tylko nie patrzeć mu w oczy. Żeby tylko nie mógł zobaczyć, jak bardzo cierpiała.

- Poradzą sobie beze mnie. Mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

Jakże pragnęła usłyszeć, że to ona jest dla niego najważniejsza, ale...

- Odgrywanie roli Świętego Mikołaja jest ważniejsze niż przesłuchanie w Kongresie?

- To babcia jest dzisiaj Świętym Mikołajem. Ja tylko sprzedałem trochę jej akcji, żeby pokryć koszty.

O Boże! Już gorzej nie mógł zacząć.

- Nigdy jej o to nie prosiłam. - Emily aż poczerwieniała na twarzy. - Nie prosiłam jej...

- Wiem - wtrącił cicho. - Wiem dzisiaj znacznie więcej niż dwa dni temu, kiedy stąd wyjeżdżałem. Babcia zaplanowała to wszystko. Przyznała, że specjalnie powiedziała mi, że chce ci przekazać swoje pieniądze, żeby mnie tu ściągnąć. Wiedziała, że rzucę wszystko i przyjadę do Augsburga, żeby temu zapobiec.

- I tak właśnie zrobiłeś.

- Łatwo przewidzieć moje ruchy, prawda? - Uśmiechnął się krzywo i wzruszył ramionami.

- Babcia chciała, żebyśmy się poznali, i doszła do wniosku, że tak będzie najszybciej. I miała rację.

- Ida swatka. - Emily sięgnęła pamięcią wstecz.

Przypomniała sobie uwagi Idy, jej spojrzenia i pytania. Wszystko stało się jasne. Psiakrew! Powinna się była domyślić! Uchroniłaby się w ten sposób przed cierpieniem.

Cole pokiwał głową.

- Nie sądziłem, że jest aż tak dobra.

- No cóż - Emily chciała być sprawiedliwa - przynajmniej bezbłędnie potrafiła dostrzec, jak na siebie działamy. To było naprawdę dobre. Reszta...

Nabrała głęboko powietrza. Czemu kolana tak jej się trzęsły?

- Skoro, jak twierdzisz, pomysł przekazania mi dotacji był tylko intrygą, która miała cię tutaj ściągnąć, to dlaczego sprzedałeś jej akcje? Dlaczego pozwoliłeś, żeby podstęp stał się rzeczywistością?

- Ponieważ ona chciała tego, a ja nie powinienem jej w tym przeszkadzać.

Takiej odpowiedzi się nie spodziewała. Czy mogła mieć nadzieję na coś więcej? Czy też rozstaną się z energicznym uściskiem dłoni i zdawkową obietnicą kontaktu kiedyś, w przyszłości?

Jej serce waliło coraz mocniej. Wyszło jej w ustach. Szybko wypła łyk wody sodowej. Niewiele to zmieniło, ale dało jej przynajmniej odrobinę czasu na pozbieranie myśli.

- Wygląda na to - zaczęła ostrożnie - że w ciągu ostatnich dwóch dni radykalnie zmieniłeś zdanie w niektórych kwestiach.

Nareszcie! Nareszcie znaleźli się w sytuacji, kiedy mógł powiedzieć to, co tak bardzo chciał powiedzieć.

- Wiele ostatnio myślałem, Emily - wyznał. - Między innymi na temat charytatywnych poczynań babci. Miałaś rację. Całkowicie. Na sto dziesięć procent. To są jej pieniądze i jeśli chce użyć ich dla poprawy świata, nikt nie ma prawa stawać jej na drodze.

- Jak daleko sięga teraz twoja akceptacja? Obejmuje słownik języka wielorybów? Czy tylko zakup wyposażenia dla mnie?

- Popęlniłem w przeszłości bardzo wiele głupstw - przyznał - ale wiem, że tak nie można się wkupić w twoje łaski.

Uśmiechnęła się. Doceniła jego szczerość.

- A zatem, skoro sprawdziłeś, że wszystkie dary Idy dotarły, co dalej? Wyjeżdżasz do Waszyngtonu?

- Nie.

- Wydawało mi się, że bardzo ci zależało na udziale w przesłuchaniu przed Kongresem.

- Mówiąc wprost, Emily, wcale nie chcę tam być. Chcę być tutaj. Z tobą.

Z tobą. Usłyszała w duszy radosny śpiew. Ale rozum ostrzegał, że chwyta się wątpliwej nadziei. Odstawiła puszkę na blat, żeby ukryć drżenie rąk.

- Jak długo zamierzasz zostać tym razem? - Z najwyższym wysiłkiem opanowała łamiący się głos.

- To zależy od ciebie.

Tak było. Dlatego musiała wyraźnie wytyczyć granicę, żeby wiedział, gdzie się znalazł.

- Cole - powiedziała, podchodząc do niego - przekonałam się, że bardzo nie lubię, gdy się mnie wykorzystuje i zostawia. To boli.

Ze zrozumieniem pokiwał głową. Potem dotknął jej warg i szepnął:

- Co mam zrobić, żebyś mi dała drugą szansę?

Drugą szansę na co? - pomyślała. Chociaż jej serce krzyczało, że to bez znaczenia. Cole był z nią. Byli razem. Lecz nie gwarantowało to miłości.

- Drugą szansę na to, bym zrobił to wszystko dobrze, Emily. - Ujął jej twarz w dłonie.

Uniosła głowę. Wtedy zobaczył w jej spojrzeniu odbicie swojej własnej nadziei.

- Nigdy nie czułem się bardziej pusty i samotny niż przez ostatnie dwa dni - powiedział. A w każdym słowie dźwięczała rozpacz, która gnieździła się w jego sercu. - Tysiące razy zwracałem się do ciebie, żeby porozmawiać, a ciebie tam nie było. Wszystkie te interesy, te negocjacje i handel... Nie mam pojęcia, co podpisałem. Złożyłem swoje nazwisko na papierze, byle szybciej mieć to za sobą i wrócić do domu, do ciebie. Nie chcę przez resztę życia tęsknić za tobą - kontynuował. - Ten ból jest przeraźliwy. Proszę, Emily. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Pozwól mi pokazać ci, każdego dnia do końca życia, jak bardzo cię kocham.

Serce Emily zmiękło jak wosk. Uśmiechnęła się promiennie.

- Kocham cię, Cole. Kocham cię całym sercem.

Ulga, jaką poczuł,omal nie zwała go z nóg. Chwył Emily w objęcia i przytulił ze wszystkich sił. Chciał, żeby i ona poczuła jego bezgraniczną miłość. I przekonanie, że jego serce i dusza znalazły wreszcie dom.



TLR